Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII. Niedziela, dnia 30 kwietnia 1939 r. Nr. 18



PERŁY — MŁODEJ — DAMY

Narzeczona z Szanghaju

POWIEŚĆ

— Czyliż ci serce nic nie mówi, o, Li-Czang? — powtórzyła Si-Hau.

— Złodziejstwo niesłychane popełniasz, dziewczyno! — powiedział na to Li-Czang. — Za dnia, podczas gdy ludzie nie śpią, z daleka serca porywasz.

Od tego wieczoru biedne dotychczas życie młodego Li-Czanga opromieniła tęczowymi blaskami rozkosz, którą odczuwają tylko zakochani. Li-Czang otworzył serce pukającej doń miłości, a gdy je znowu zamknął — miłość została wewnątrz zamknięta.

Mijały lata. Sława mądrości młodego Li-Czanga rozbrzmiewała już z końca w koniec niebieskiego państwa i przyćmiewała nawet sławę cesarza. Bo wiedza i godność królewska nie są wcale równe: królowi bowiem oddaje się cześć w jego własnym państwie, mędrcowi wszędzie.

Dobry władca, posłyszawszy o sławnym mędrcu, rozkazał sprowadzić go do siebie, aby o mądrości jego się przekonać. Stanął tedy Li-Czang przed władcą i padł na twarz, oddając mu cześć należną.

— Powstań, mędrcze, i wiedz, żem jest sprawiedliwym sędzią moich poddanych — powiedział cesarz. — Nie godzi się, by kwiat rozumu ludzkiego — mądrość mieszkała w poniżeniu i nędzy. Dla mędrców, nauczających bliźnich swoich, niedość zamków i pałaców. Papuga, choć pięknopióra, dostaje zaledwie koło, a dla czarnego słowika złotej klatki za mało. Od dziś zamieszkasz w pałacu marmurowym na wyspie Lao-Hań.

Li-Czang padł znów przed władcą na twarz w podzięce i odszedł.

Pożegnał wyrobnika za rogatkami, zabrał swoje ubogie manatki i przeniósł się na mieszkanie na wyspę szczęścia, Lao-Hań. Nie zapomniał też Li-Czang i o Si Hau, która tyle lat wiernie mu służyła i chciała być jego niewolnicą wtedy, gdy Li-Czang był biednym jak ostatni z kulisów. Albowiem słońce wschodzi różowo i zachodzi różowo — w szczęściu i nieszczęściu wielcy ludzie pozostają niezmienni. Drzewo sandałowe „choć w proszku — pozostaje pachnące, trzcina cukrowa, choć drobno pokrajana — pozostanie zawsze słodka, złoto, choć w ogniu spalone, pozostaje zawsze błyszczące — ludzie szlachetni, nawet w chwili śmierci nie zmieniają swego charakteru. Takim też był i Li-Czang.

Zamieszkał tedy Li-Czang w pałacu marmurowym, otoczonym polami platynowymi, lasami palmowymi, szemrzącymi pieśń egzotyczną bambusami, latarniami, stawami pełnymi wodnych roślin, zarośli eukaliptusów — i był szczęśliwy. Gdy płynął razem z Si-Hau łodzią wśród pachnącego kwiecia magnolii, a w koło nich kręciły się dziesiątki innych łodzi i błyszczały setki lampionów, gdy słuchał muzyki betel i śpiewów, żona jego tuliła się doń czule i szeptała:

— Li-Czang, o, Li-Czang, jakże bardzo jestem szczęśliwa!

A on obejmował jej kibić ramieniem, przyciskał do serca i myślał o tym, że i on niemniej jest szczęśliwy.

A gdy wracali do swego zacisznego i wspaniale urządzonego gniazdka, Li-Czang długo jeszcze potem pieścił Si-Hau i mówił jej tak wiele pięknych słów, choć ona nie rozumiała ich nawet. Ale czuła, że słowa Li-Czanga sprawiają jej bardzo dużo radości.

Potem mędrzec udawał się do swej pracowni i zagłębiał w foliały mądrych ksiąg, szukając w nich dobra, które obrócić by mógł na pożytek poddanych dobrego władcy. Przy czym rozmyślał o tym, że trud jest przyjacielem w postaci nieprzyjaciela, a lenistwo trucizną w postaci przyjaciela, że nauka jest ambrozją w postaci trucizny, a kobieta trucizną w postaci ambrozji.

Sława Li-Czanga rosła, a mądrość jego sprowadziła dobrobyt do niebieskiego państwa. Był pokój i ludzie zapomnieli o wojnie. Chwalili Buddę i błogosławili niebom, że zesłało im dobrego mędrca, który był sprawcą ich szczęścia.

Lecz szczęście na ziemi nie jest wieczne. Przekonał się o tym mędrzec aż nazbyt prędko.

W spokojnym i szczęśliwym dotąd państwie, rządzonym przez dobrego władcę, którego doradcą był Li-Czang — wybuchła rebelia.

Starożytny tron legł w gruzy. Pożar rewolucji objął całe olbrzymie imperium od wschodu do zachodu słońca i rozszerzał się z ogromną szybkością. Legły również w gruzy i pałace bogaczy, a wśród nich i pałac na wyspie szczęścia, gdzie mieszkał mędrzec.

Nowi ludzie przyszli do władzy. Li-Czang skazany został na wygnanie. Mędrzec wziął sakwę i kij podróżny i poszedł do rodzinnej wioski nad wielką rzeką. Z nim poszła i Si-Hau.

Ze spokojem, jak przystało mędrcowi, poprawił Li-Czang chatę i jął się pracy na roli ojców swoich. Ciężka to była i znojna praca. Świt ranny zastawał go na polu, zmierzch spędzał go do chaty. Ziemia długo odłogiem leżąca, zeschła i popękała. Krwawiły się ręce Li-Czanga przy łopacie, opadał z sił, pot kroplisty zraszał mu całe ciało, ale mędrzec nie ustawał w pracy. Nie mógł jej przerwać. Ta ziemia niewdzięczna była teraz jedyną żywicielką jego i ukochanej Si-Hau. Musiał więc pracować.

Si-Hau pomagała mu w pracy wedle siłł i możności. Ale później coraz częściej z ust jej wychodziła skarga bolesna i przykra, która jak głaz ciężki spadała na serce Li-Czanga. Lecz mędrzec nie znajdował żadnej pociechy. Milczał więc, choć ból serce mu krajał.

Nastał czas pierwszych zbiorów. Li-Czang o świcie wyruszył na pole, by rozpocząć zbiory. Si-Hau poszła do niedalekiej wioski. Dawno już przestała poma-



To nie upiorne widmo, lecz fantastycznie uniesiony welon ślubny panny młodej.



Premiowaną sukę i dziewięć jej szczeniąt w oryginalny sposób ustawiono do fotografii.

gać mężowi w pracy. Wolała bezczynnie przesiadywać w chacie, nad wodą lub we wsi, niż trudzić się tak ciężką pracą. Jej delikatne dłonie, białe i wypieszczone w czasie pobytu w pałacu, popękały i skóra stwardniała na nich, jak róg. Ileż to łez wylała z tego powodu biedna Si-Hau.

Wieczorem dnia tego wrócił Li-Czang do chaty z nadzieją, że zastanie w niej żonę krzątającą się przy kominku. Lecz Si-Hau nie było w chacie. Gdzie ona mogła być o tej porze? Li-Czang poszedł do wsi rozpytać, czy nie widziano jej tam.

Pierwsza spotkana po drodze kobieta udzieliła mu dokładnych wiadomości. Owszem, widziała Si-Hau we wsi rozmawiającą z pewnym kupcem, przybyłym tu z Szanghaju i widziała także, jak Si-Hau odjechała z nim do ludnego miasta.

Zapłakało cichutko serce Li-Czanga i od razu zamknęło się mocno. Podziękował kobiecie i zawrócił do swej ubogiej chaty na brzegu wielkiej rzeki.

I znowu minął rok. Buntownicy, którzy strącili z tronu dobrego władcę, zostali z kolei pogromieni. Lud, który pamiętał szczęśliwe czasy dawniejsze i rady Li-Czanga, nie pozwolił dłużej panować grasantom. Przepędził ich ze stolicy i z kraju i na tron powołał szlachetnego mędrca Li-Czanga.

Z radością i weselem wprowadzono go na tron. W kraju wnet nastał spokój i lud zapomniał prędko o smutnej przeszłości.

Pewnego wieczoru cesarz Li-Czang siedział w swojej pracowni, zaczytany w księgach dawnych czasów, gdy oznajmiono mu przybycie kobiety. Domagała się ona widzenia z władcą i nie chciała odejść od drzwi jego. Choć godzina była późna, którą zwykle władca dla siebie przeznaczał, nakazał wprowadzić kobietę.

Weszła z radosnym uśmiechem na ustach — Si-Hau.

Cesarz spojrzał zdziwiony, ale nie okazał żadnego wzruszenia.

— Czego pragniesz de mnie, Si-Hau?

— Ach, Li-Czang, dobry Li-Czang — przebacz mi!... Wrróć mi swą miłość!...



Taniec wielkanocny „Nine Men's Norris" na ulicach miasta Thaxted w Angl'i. Początki tego tańca sięgają zamierzchłych czasów, jeszcze przed najazdu Normanów.



Szczególnie radosną chwilę dla naszych rybaków stanowi pierwszy wiosenny wyjazd na połowy.

Zadumał się Li-Czang i milczał czas pewien, po czym otrząsnął się z zadumy i rzekł:

— Podaj mi ten puchar, który stoi pod oknem.

Kobieta spełniła natychmiast polecenie, podając puchar pełen słodkiego napoju.

Li-Czang, odbierając go od niej, rozmyślnie przechylił naczynie i cała jego zawartość wylała się na wzorzysty kobierzec, na którym stał władca.

— A teraz, o Si-Hau, pozbieraj ten płyn do puharu.

Rzuciła się Si-Hau na kolana i jęła kropla po kropli zbierać płyn, ale praca ta szła jej niesporo i znojnie. Li-Czang stał spokojnie i pilnie przyglądał się pracy kobiety. W końcu rzekł:

— Pokaż mi dzban.

Na dnie puharu bełtało się trochę brudnego płynu.

— I ty chcesz... — rzekł — i ty chcesz, bym ci wrócił miłość moją?

Kobieta opuściła głowę na pierś i bez słowa, jak drzewo siekierą podcięte, złamana i zgnębiona — odeszła...

— Śliczna bajka — powiedziała ze szczerym zachwytem Daniela, kiedy Japonka skończyła i z ciekawością spojrzała na twarz Europejki swymi wąskimi, skośnymi i nigdy nic nie mówiącymi oczami.

— Podoba się pani?

— Bardzo — tyle mądrości w niej zawarte.

— Cieszę się, że w pani monotonii, zabawiłam ją chociaż przez chwilę.

Yiszika powstała.

— Pójdę już, a tymczasem przyślę pani kobietę, która spełni wszystkie jej życzenia. Do widzenia.

— Do widzenia — powiedziała ze specjalnym naciskiem Daniela, odprowadzając przeciwniczkę wzrokiem aż do drzwi. A gdy te za nią się zamknęły, pomyślała równocześnie: — W tym wszystkim jest jakaś gra, jakaś nawet, być może, wielka gra. Ale jaka? Co się za tym wszystkim kryje? Ta grzeczność, posunięta do najwyższego bodajże stopnia, ta chęć zabawienia mnie... Nie, to wszystko jest grubo podejrzane. Coś w tym jest, coś w tej bajce jest więcej, niż Yiszika chciała powiedzieć.

Lecz tego i następnych dni Daniela daremnie głowiła się nad rozwiązaniem niejasnego postępowania przeciwniczki. Nie przyszła ona już do niej więcej, nie dała jej więc innej możności wysondowania siebie, ale Daniela nie przestała o tym wszystkim myśleć.

XIV.

NA TROPIE

Gubernator francuski co tylko był skończył poufną konferencję z konsulem angielskim, gdy do gabinetu jego wsunął się bezszelestnie jego sekretarz.

— Co nowego, Somain? — spytał.

— Monsieur, są nowiny od naszych ludzi w sprawie madame D 27.

— No, mów pan.

— Nasz człowiek, Su-Feng, po trzechdniowych poszukiwaniach wpadł na trop miejsca uwięzienia madame D 27 i owego Anglika, korespondenta. Szczegółowe oficjalne poszukiwania nie dały początkowo żadnych rezultatów. Dopiero szofer madame D, monsieur Waast, który wiózł w krytycznym dniu madame D i owego Anglika, wyrwawszy się z japońskiego aresztu, dał naszym ludziom nitkę przewodnią, po której doszli do kłębka.

— I jakże wygląda ten kłębek?

— Madame D 27 jechała samochodem w stronę koncesji angielskiej w czasie paniki, jaka wynikła na skutek bombardowania miasta przez samoloty japońskie.

— Wiem, to robota Yisziki.

— Tak jest, monsieur. Po drodze madame D natknęła się przypadkowo na mr. Thompsona, którego jej wóz potrącił na drodze. Zabrała go natychmiast do samochodu i pojechała dalej z zamiarem przedostania się na miejsce bezpieczne. Przypadek zrządził, że niedaleko wybuchła zrzucona bomba lotnicza, której odłamek uderzył w motor jej samochodu. Wóz został zdemolowany, wypadków z ludźmi nie było. Wysiadłszy z samochodu, wszyscy troje, to znaczy: madame D, ów Anglik i szofer pobiegli pieszo dalej, ale po drodze



Polskie działko przeciwczołgowe w czasie akcji w terenie.

otoczyła ich zgraja Japończyków, podobno nawet żołnierzy regularnych, poprzebieranych za Chińczyków, uciekających przed atakiem samolotów japońskich do dzielnicy międzynarodowej i owa to zgraja zagarnęła ich, potem pojmała i uwiozła do dzielnicy japońskiej. Z tego wynika, mój gubernatorze, że nasza współpracowniczka, madame D 27, znajduje się obecnie w miejscu nam znanym, tj. w podziemiach admiralicji japońskiej. Tam pewnie również znajduje się i mister Thompson.

— To jest prawdopodobne — odrzekł spokojnie gubernator. — Ale w takim razie madame D jest już na tutejszym terenie skończona. Niemniej jednak musi ona być bezwzględnie uwolniona i doprowadzona tutaj. Później pomyślimy o jej dalszej pracy.

— Rozkaz, mój gubernatorze... Nie taję jednak, że sprawa ta będzie ogromnie trudna.

— Nie ma rzeczy trudnych, o ile tylko są one ludzkie. Mamy tutaj przecież ludzi zdolnych, którzy wiele potrafią.

— Bien — odrzekł sekretarz.

— Oprócz naszych ludzi, w sprawie tej działać będą również i inni.

— Bien — powtórzył sekretarz i wyszedł.

A gubernator, sięgnąwszy po słuchawkę telefoniczną, kazał się połączyć z panem Wangiem, gubernatorem Szanghaju.

— Hallo, monsieur Wang? Tak? Bardzo się cieszę. Ekscelencjo, bardzo pragnąłbym widzieć pana u siebie jeśli łaska, możliwie najrychlej. Mówi gubernator Haillcourt... Co, za godzinę? Bardzo mi będzie pana miło widzieć. Adieu!

Gubernator odłożył słuchawkę.

A w godzinę później, jak to obiecał, zjawił się w gubernatorstwie francuskim ekscelencja Wang. Był to młody jeszcze człowiek o sympatycznej powierzchowności i manierach człowieka całkowicie zeuropeizowanego. Nikt by w tym eleganckim, modnie ubranym młodzieńcu, gdyby nie barwa skóry i skośność oczu, nawet nie podejrzewał Chińczyka. Niemniej atoli pan Wang był najprawdziwszym Chińczykiem.

— Cieszę się, ekscelencjo — powiedział na powitanie pan Haillcourt — że pana mam honor widzieć u siebie.

— Ach, ekscelencjo, drobnostka — odrzekł z galanterią dr. Wang. — Cała rozkosz z tego powodu jest po mojej stronie.

— Pragnę z panem porozmawiać w sprawie, która jest mu już poniekąd znana.

— Słucham z uwagą.

— Pan zna madame Berthier, prawda?

— Owszem, miałem to szczęście...

— Otóż ta nasza piękna Helena zniknęła nagle. Albo lepiej: została porwana przez wywiad japoński i osadzona w podziemiach japońskiej admiralicji.

— Co za nieszczęście! I cóż oni chcą od tej kobiety?

— Nie wiem, proszę pana, ale pragnąłbym, aby madame Berthier koniecznie i za wszelką cenę znalazła się znowu na wolności. Ekscelencja sam dobrze wie, że wolność jej zarówno dla mnie, jak i dla pana posiada wprost nieocenioną wartość

— Wiem.

— Moi ludzie otrzymali już odpowiednie rozkazy, chodzi zatem teraz tylko o to, aby pan, ekscelencjo, zechciał udzielić paru swoich najzdolniejszych ludzi do pomocy.

— Jestem na pańskie usługi, ekscelencjo. Będzie mi niezmiernie miło okazać taką pomoc zarówno panu, monsieur, jak i pannie Berthier. Nasze dowództwo potrafiło już ocenić należycie zasługi panny Berthier i mam polecenie okazać zarówno panu, ekscelencjo, jak i pannie Berthier — wszelką pomoc.

— Z góry serdecznie dziękuję w imieniu własnym i panny Berthier.

Obaj panowie skłonili się sobie wzajemnie. Chińczyk wprost rozpływał się w uśmiechach, pełnych takiej rozkoszy, jakby mu się w tej chwili udało co najmniej na głowę pobić armię mikada.

— Ekscelencjo — powiedział znowu dr. Wang — jeżeli chce mnie pan uszczęśliwić, proszę zostawić mnie całą sprawę uwolnienia panny Berthier z niewoli japońskiej.

— Nie chciałbym za bardzo naprzykrzać się panu, ekscelencjo.

— Ależ dla mnie będzie to największym zaszczytem! — zawołał dr. Wang, uśmiechając się znowu tak, jakby całe słońce miał w tej chwili w duszy.

Gubernator Haillcourt ucieszył się bardzo tą propozycją swojego chińskiego przyjaciela, chociaż nie okazał tego. Propozycja ta bowiem była mu ogromnie na rękę i dawała w więcej niż połowie nadzieje szczęśliwego zakończenia. Zbyt dobrze znał dra Wanga, aby w to nie wierzyć.

Po dłuższych certacjach obaj panowie zgodzili się, że dr. Wang osobiście zajmie się sprawą uwolnienia Danieli, ale o każdym swoim posunięciu lojalnie będzie informował swojego francuskiego kolegę.

Dr. Wang, pożegnawszy Haillcourt'a, odjechał natychmiast do siebie. Znalazłszy się w swoim gabinecie, zadzwonił na sekretarza.

— Panie Su-Szu, czy Su-Feng nie zjawiał się tu dzisiaj?

— Był przed godziną ekscelencjo.

— A obecnie gdzie go można znaleźć?

— Pojechał do Li-Lianga w sprawie morderstwa, jakie wydarzyło się znowu na japońskim szpiegu w hotelu „Metropol".

— Proszę go natychmiast sprowadzić do mnie.

Sekretarz skłonił się i opuścił gabinet. Dr. Wang został sam i zaczął przechadzać się wolnym krokiem po swoim gabine-



Warszawska młodzież szkolna sadzi drzewka na ulicach miasta.

cie. Następnie podszedł do okna i spojrzał przez nie na leżące u jego stóp miasto. Głęboka troska osiadła na mądrym czole gubernatora.

— W co się obróci ten olbrzymi gród, jeśli wojna potrwa tu jeszcze parę tygodni? — pomyślał. — Co się stanie ze skarbami nagromadzonymi tutaj?

Potem wzrok jego pobiegł w dal, na rzekę, gdzie stały liczne okręty wojenne mikada. Przebiegł je kolejno i powędrował dalej do koncesyj europejskich, wymuszonych przed wielu laty na słabym rządzie chińskim.

— Za miłość pokoju i gościnność — pomyślał znowu gubernator — zapłacono nam ze wszystkich stron najczarniejszą niewdzięcznością. Zrabowano nam część najlepszych terenów, a teraz japoński najeźdźca usiłuje rozczłonkować wielkie imperium, najstarsze bodajże na świecie.

Zaduma legła na twarzy mądrego dra Wanga. Był tak zamyślony, że nie spostrzegł nawet, jak do gabinetu wsunął się po pewnym czasie Su-Szu.

— Ekscelencjo, Su-Feng czeka na twoje rozkazy.

Dr. Wang ocknął się i odwrócił.

— Dobrze. Proszę go tu wprowadzić.

Po chwili as wywiadu stanął w pokornej postawie przed gubernatorem.

— Su-Feng, panna Berthier zniknęła nagle — powiedział dr. Wang.

— Wiem, ekscelencjo i boleję nad tym.

— To kobieta winna być niezwłocznie wyrwana z rąk japońskich.

— Wola twoja, panie, jest dla mnie rozkazem. Co nakazujesz mi uczynić?

— Czy masz kilku ludzi na wszystko zdecydowanych?

— Są gotowi, aby położyć nawet głowy, jeśli tego zajdzie potrzeba.

— Su-Feng, czy ty jesteś dobrym Chińczykiem?

— Jestem nim, panie.

— Czy uczynisz wszystko, czego ojczyzna od ciebie zażąda?

— Życie moje w całości należy do ojczyzny.

— Słuchaj więc: obowiązkiem naszym jest uwolnić pannę Berthier z niewoli japońskiej. Obowiązek ten spoczywa na nas dlatego, gdyż kobieta ta pracuje pośrednio dla nas. Gdy wielkie mocarstwa białe konkurują między sobą i gryzą się o kość chińską, my powinniśmy umieć wyciągnąć z tego naukę na przyszłość. Wiedz o tym, że w Chinach biją właśnie białych. Obecna nasza walka z japońskim najeźdźcą jest klęską przede wszystkim białych. Po skończonej wojnie, jakkolwiek ona się zakończy, biali niewiele będą mieli do gadania tutaj. Koniec naszego zmagania się z Japończykami będzie równocześnie końcem wszelkich przywilejów i wszelkiej supremacji białych w Azji. Muszą oni stąd odejść. Ale dzisiaj pomoc białych przeciwko Japończykom jest nam potrzebna. Z chwilą jednak, gdy pomoc ta stanie się zbyteczna, będziemy umieli i my postępować inaczej. Miłowaliśmy zawsze pokój i nigdy nie chcieliśmy cudzej ziemi, nie byliśmy jej chciwi. Narodowi naszemu przywara ta była obca. Ale biali nauczyli nas chciwości. Musimy więc postępować tak samo, jak postępują oni, aby utrzymać się na powierzchni życia i móc się rozwijać. Stara kultura chińska i stare nasze obyczaje uchronią nas od klęski.

Su-Feng słuchał z natężoną uwagą i rozumiał swojego szefa doskonale. Rozumowanie to było jasne i wynikało z tych wszystkich przykładów postępowania białych w Chinach, jakich Chińczycy doświadczyli w ciągu wielu dziesięcioleci. Ludzie biali nauczyli Chińczyków obłudy.

— Słuchaj, Su-Feng, zajmiesz się sprawą uwolnienia panny Berthier osobiście. Wszelką pomoc z mojej strony masz zapewnioną. Należy się przy tym spieszyć, gdyż niedługo już zapewne będziemy musieli opuścić Szanghaj. Sprowadzisz mi tu kapitana statku Pei-Fu, z którym pragnę



Niesiemy drzewom pozdrowienie

Płonął las podsycany żarem rannej zorzy —
chłonął chciwie blask ranka i głuchy stuk siekier.
Drzew sękate ramiona bezradnie rozłożył
i giął dumne korony przed słabym człowiekiem.

I tak w żałosnym rytmie walą się z łoskotem
drzewa — i czas źre chciwe pił zębami lasy.
Były puszcze, są lasy — lecz co będzie potem,
gdy ci natury woje, wyginą przed czasem?

I dokąd się wyniosą gwarliwe gromady
skrzydlatych trubadurów z tej leśnej opery?
Kto będzie przy ognisku baśnie opowiadać,
gdy ostatnią pobudkę zagrają siekiery?

Gdzie zakwitną pierwiosnki, gdy u miedz zrudziałych
stanie wiosna, witając ziemię ciepłym deszczem?
Gdzie będą groźne wichry giąć drzewa wspaniałe?
Gdzie będą wczesną wiosną przylaszczki niebieszczeć?

W tragicznej niepewności serce się łopoce,
czy — może — dzień jutrzejszy nie będzie ostatnim..
Wymknijmy się i choćby pod osłoną nocy,
Zanieśmy smutnym drzewom pozdrowienie bratnie...

Władysław Smoła.

porozmawiać. Ty sam przyjdziesz do mnie wieczorem.

Su-Feng skłonił się nisko, tak nisko, że nieomal czołem uderzył o podłogę, oddając tym cześć wysokiemu dygnitarzowi i tyłem wycofał się z pokoju. Dr Wang podszedł znowu do okna i zapatrzył się na miasto, myśląc o najbliższej i o dalszej przyszłości tego miasta.

XV.

ŻYWA TORPEDA

W ujściu rzeki, na wprost konsulatu japońskiego, stała flota japońska ze statkiem admiralskim „Idżuma" na czele. Chińczycy niejednokrotnie już próbowali zniszczyć tę flotę, która nieustannie wyrządzała im wielkie szkody swymi ciężkimi działami, a głównie działami przeciwlotniczymi, których Chińczycy mieli bardzo niewiele.

Ponieważ pociski dział chińskich i torpedy nie bardzo szkodziły flocie japońskiej, zapadło postanowienie, aby w stronę „Idżumy" wysłać żywą torpedę, jako najpewniejszy środek niszczycielski.

Żywa torpeda jest wynalazkiem stosunkowo młodym i w konstrukcji swojej, na pierwszy rzut oka, niewiele różni się od zwykłej torpedy. Lecz w zasadzie różnica taka istnieje i to wielka. Żywa torpeda bowiem posiada wewnątrz odpowiednie miejsce na pomieszczenie człowieka, który włazi tam, zostaje zamknięty i następnie torpedą tą kieruje. Człowiek ten, przy zderzeniu się torpedy z celem twardym, naturalnie ginie, ale na wojnie jeden człowiek jest ubytkiem mniejszym od jednego konia. Zaginionego człowieka bowiem melduje się tylko przy raporcie ustnym, a o zaginionym koniu spisuje się zazwyczaj metrowe raporty na piśmie.

Taką to właśnie torpedę postanowili Chińczycy wysłać pewnej nocy przeciwko statkowi admiralskiemu „Idżuma", którego flaga dumnie powiewała na maszcie, zdając się urągać z dotychczasowych wysiłków przeciwnika.

Wieczór był cichy i spokojny i nic nie zwiastowało wypadków, których terenem być miało ujście rzeki. Straże czuwały na wszystkich statkach, przechadzając się wolno, z powagą, światła były zgaszone i na rzece panował półmrok, w którym wojenne okręty mikada zlewały się z gmachami i z oddali nie wyróżniały się niczym od bloków domów, które stały opodal na gruncie stałym.

Od miasta dochodził gwar i poszum, dźwięczały tramwaje, ryczały syreny samochodowe, szedł bulgot licznych głosów ludzkich, korzystających z chwili spokoju, aby się wypowiedzieć.

Na pokład „Idżumy" wyprowadzono spod pokładu jedynego więźnia tego statku, Fryderyka Thompsona, aby mógł odetchnąć świeżym powietrzem nocy. Zostawiono mu nawet znaczną swobodę w ruchach, chociaż straże japońskie, niby to obojętne i zdające się nie zwracać na niego żadnej uwagi, pilnie baczyły na każdy ruch więźnia.

Fred usiadł na jakimś bloku i obojętnie patrzył na rzekę, tam, gdzie stały zakotwiczone nieliczne statki wojenne chińskie. Był do tego stopnia zobojętniały, że nie miał już prawie żadnej nadziei, aby kiedykolwiek znowu odzyskał wolność i stanąć w rzędzie ludzi, którzy robią to, co każdej chwili uznają dla siebie za najbardziej odpowiednie. Tylko kiedy myślał o Danieli, żądza życia budziła się znowu w nim z wielką siłą, a mózg pracował intensywnie nad sposobami ratunku. Niestety, w jakiż sposób mógł przyjść ten ratunek, skoro od brzegu dzieliła go przestrzeń co najmniej dwóch kilometrów, która wprawdzie nie była dla niego zbyt wielka, bo Fryderyk był doskonałym pływakiem i mógł ją przebyć w ciągu godziny z największą łatwością, ale kule japońskie unieszkodliwiłyby go daleko prędzej, niż by pomyśleć nawet o ratunku zdołał.

ścigany ani przez ludzi, ani przez szybsze od nich kule.

Mimo to ostrożność wymagała bystrości umysłu i całkowitej przytomności. Pragnąc wylądować na najbliższym brzegu, Fred mógł to wykonać tylko na terenie koncesji japońskiej, a niebezpieczeństwo tutaj było równie groźne, jak na rzece. W danej chwili zaś niebezpieczeństwo było tym groźniejsze, bo pewnie straże na wybrzeżu wzmocniono, które mogą pochwycić go w chwili, gdy będzie wyłaził na brzeg. To było możliwe, nawet bardzo możliwe.

Thompson, oddaliwszy się już znacznie od miejsca swojego uwięzienia, płynął teraz śmiało, rozgarniając wodę wielkimi łukami ramion i pomagając sobie nogami. Jak długo trwała ta przeprawa przez burzliwe wody rzeki, nie wiedział, gdyż nie liczył czasu, opanowany jedną tylko myślą, aby jak najrychlej znaleźć się na lądzie i nogami dotknąć twardego gruntu.

Wreszcie w niewielkiej odległości przed nim zaczerniały jakieś budynki, potem zobaczył wybrzeże i w kilka minut później dopłynął do brzegu. Uchwyciwszy się żelaznej klamry, wbudowanej w beton nabrzeża, wypoczywał kilka chwil, a następnie wyciągnął się na brzeg i usiadł.

Noc była na ogół ciepła, ale wody rzeki były chłodne, toteż Thompson czuł ziąb, jaki przejmował go do kości prawie i dreszcz wnet go chwycił i zaczął nim potrząsać.

— Muszę stąd jak najprędzej wiać — pomyślał — póki się na „Idżumie" nie pokapują i nie zaczną mnie szukać.

I po tych słowach powstał i, klucząc w cieniu budynków, omijając ostrożnie straże, podążył w stronę koncesji angielskiej. Już na pograniczu koncesji japońskiej natknął się nagle na kilku żołnierzy, którzy patrolowali po nocy. Nie było czasu ani się cofnąć, ani ukryć gdziekolwiek, a Thompson wyglądał teraz tak podejrzanie, iż nie miał najmniejszej nadziei, aby Japończycy przeszli obok, nie interesując się jego osobą. Mimo to jednak szedł śmiało naprzód i wnet zrównał się z żołnierzami. Dowódca tego oddziałku przystanął na chwilę i zatrzymał go podniesieniem ręki. Thompson zmierzył wzrokiem odległość, jaka go dzieliła od koncesji angielskiej i zobaczył po drugiej stronie żołnierzy. Odległość była niewielka — najwyżej 50 kroków. Fred popatrzył na tamtą stronę wzrokiem niespokojnym i przyjrzał się żołnierzowi angielskiemu, wachtującemu przy jakimś budynku, i postanowił zaryzykować. Opatrzność nie po to chyba pozwoliła mu umknąć z „Idżumy", ażeby na progu całkowitej wolności znowu go oddać w ręce japońskie. Podoficer podszedł tymczasem do Thompsona, zapytując w łamanym języku angielskim o dokumenty.

— Nie mam ich. Wyszedłem na przechadzkę i wpadłem nieostrożnie w wodę — odrzekł dziennikarz. — Moje dokumenty pływają pewnie teraz po Jang-Tse-Kiangu.

— Sprawdzimy to — mruknął Japończyk — pan pozwoli na odwach.

— Jestem Anglikiem i protestuję przeciwko aresztowaniu mnie w dzielnicy międzynarodowej.

— Powie pan to porucznikowi.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



Zdjęcie z tradycyjnego wyścigu wioślarskich załóg uniwersytetów angielskich w Oxford i Cambrigde. W tym roku zwyciężyła załoga Cambrigde.

— Biedna Daniela — myślał — gdzie ona teraz i co się z nią dzieje? Te żółte psy nie oszczędziły jej na pewno. A ja tu siedzę, przykuty do tej bryły stalowej i nie mogę pospieszyć jej z żadną pomocą, gdyż tej pomocy sam potrzebuję.

Wzrok Freda biegł po wodzie to w tę, to w ową stronę, jakby szukał najodpowiedniejszego miejsca, którędy w chwili sposobnej można by najłatwiej przedostać się na ląd.

Dotąd nie powiedziano mu wcale, co z nim zamierzają zrobić. Wpakowano go na okręt, do kajuty więziennej pod pokładem i trzymano tam dniami całymi, wypuszczając go tylko podczas nocy spokojnych na pokład, aby zażył trochę świeżego powietrza.

Nagle wzrok Thompsona spoczął na czymś dziwnym, co zdawało się poruszać po wodzie, niby płetwa rekina. Skądże by tu, na brudnej Jang-Tse-Kiang wzięły się znowu rekiny? Przyjrzał się temu ruchomemu punktowi uważniej i spostrzegł, że to nie łódź, gdyż ów przedmiot płynął bezszelestnie z taką siłą, jakiej żadna łódź wydobyć z siebie nie jest w stanie, a przy tym — widać tylko ostry grzbiet, jako płetwę ogromnego ogona i smugę spienionych, białych fal z tyłu. Thompson drgnął i powstał. Jako oficer rezerwy zrozumiał co to jest i szybko, ale nie na tyle szybko, aby zwrócić uwagę, poszedł na przeciwległy koniec statku. Drżał cały z podniecenia, gdyż rozumiał, że jeśli ta torpeda uderzy w bok „Idżuma", wyrwie z jego cielska potworny kawał mięsa i może umożliwi mu ucieczkę.

Znalazłszy się na dziobie statku, przyczaił się tam pod szalupą i cały drżący, ogromnie podniecony, liczący sekundy, jakie go mogły dzielić od uderzenia torpedy — czekał, gotów w chwili wybuchu, gdy na okręcie powstanie zamieszanie i rwetes, skoczyć do wody i szukać ocalenia.

Chwilami ogarniała go żywa radość na myśl, że może będzie mógł się wyzwolić, ale były chwile, długie jak wieczność, iż zaczynał wątpić w taką możliwość, czas mu się niepomiernie dłużył i wtedy popadał w ostateczne zwątpienie. Niewiara w takie szczęśliwe wyjście z tej trudnej sytuacji ogarniała go całego i wtedy aż słabł, czując dreszcze, które nim wstrząsały.

Mijały sekundy za sekundami, a na statku panował po dawnemu spokój i cisza; marynarze przechadzali się tam i nazad i tylko ich wysokie białe getry migały mu czasem, podczas gdy reszta postaci zlewała się z mrokiem nocy.

Lecz nagle straszliwy wybuch wstrząsnął potężnym kadłubem stalowego potwora, statek drgnął gwałtownie, podskoczył i zachwiał się, dał się słyszeć chlupot wdzierającej się gdzieś tam do wnętrza wody i rozległy się gwizdy, krzyki i nawoływania.

W chwili wybuchu Thompson runął jak długi na stalową podłogę pokładu i doznał w pierwszej chwili jakby ogłuszenia, ale już w następnym momencie zerwał się i, nie bacząc już na nic, wspiął się na burtę i skoczył do wody.

Przez pierwsze kilka sekund przyczaił się w cieniu olbrzymiego krążownika, a gdy statek przechylił się jeszcze bardziej, a rozgardiasz na górze wzmógł się znacznie, odbił się nogami od boku krążownika i cicho, prawie bezszelestnie, niby jaka zjawa nocna, popłynął w stronę lądu.

A był też już najwyższy czas, gdyż „Idżuma", ugodzony bardzo boleśnie żywą torpedą w bok, chylił się coraz bardziej i bardziej i zachodziła obawa, że może zanurzyć się całkiem w wodzie lub wywróci się na bok i legnie w mule dna Jang-Tse-Kiangu.

Thompson obejrzał się raz i drugi za siebie, widział dokoła „Idżumy" ruch innych, pomniejszych jednostek morskich, które snać chciały go wesprzeć swoimi bokami i utrzymać na wodzie, ale wszystko to mało go już zajmowało. W tej chwili nawet nie myślał o tym, czy statek pójdzie na dno lub nie. Czuł się znowu wolnym, swobodnym i mógł płynąć do brzegu, nie

MARIA HEMPEL-GIERDAWA 8)

Leśny człowiek

Wyczółkowski zdębiał. Nie wiedział co powiedzieć. Dopiero po chwili zaczął:

— Co też panu do głowy przychodzi, żeby z tą nogą lecieć taki kawał drogi! A co za licho tu pana przyniosło? Bóg sam wie teraz co będzie.

— Nic nie będzie — zauważył spokojnie Jerzy.

— Jak małego głupiego chłopaka samego w domu nie można zostawić — pieklił się Wyczółkowski, wzburzony do głębi. Jakże my się teraz zabierzemy do domu, co?

— A no, pójdziemy we dwóch na trzech nogach — zażartował Jerzy.

„On chyba już teraz całkiem zwariował — pomyślał gajowy — w takiej chwili raptem żartów mu się zachciało!"

— Jakże tam ślub się odbył? — pytał Jerzy.

— Diabeł się w ten ślub wmieszał — warknął Wyczółkowski ze złością i niechęcią. — Nie wiem, jak się odbył... nie byłem...

— Jakto?... Przecież na ślub Wyczółkowski poszedł.

— Na ślub. Alem z kościoła jak z procy wyleciał, jakem zobaczył państwa młodych.

— Czemuż to? — pytał ze spokojem Jerzy.

— Czemu? „Pan inżynier" tak samo dobrze to wie, jak i ja!

— Nie wie Wyczółkowski i do końca życia swego wiedzieć nie będzie — wypowiedział młody człowiek wolno, twardo akcentując każde słowo. — Zrozumiano?

— Rozumiem... — odpowiedział stary gajowy z ciężkim westchnieniem i zwiesił głowę na piersi. Ciemno było, więc Jerzy nie mógł zobaczyć, jak łzy spłynęły z oczu wiernego, przywiązanego przyjaciela.

— A teraz chodźmy do domu — rzekł młody człowiek, usiłując się podnieść. Przyszło mu to dość trudno, pomimo pomocy gajowego.

Wsparty na ramieniu Wyczółkowskiego i na lasce dowlókł się do gajówki. Długa to była podróż i bardzo męcząca. Przez cały jej czas nie zamienili już ani jednego słowa. Ani w domu po powrocie.

Jerzy położył się od razu, a stary Wyczółkowski długo siedział na progu gajówki. Jego zapatrzone w księżyc oczy miały wyraz bezgranicznego smutku i niezrozumienia...

Minęło dwa tygodnie i Jerzy zaczął po dawnemu, choć jeszcze nie na długo, wychodzić w las ze strzelbą. Noga zagoiła się zupełnie, kość zrosła, ale nieprawidłowo. Wskutek tego noga była w łydce wykrzywiona i nieco krótsza od drugiej. Jerzy chodząc wyraźnie upadał na nią, prędko się męczył i nie mógł robić dalekich marszów, zwłaszcza po trudnym i nierównym terenie lasu. Na każdą zmianę pogody cała noga bolała go i rwała czasami tak dotkliwie, że kładł się i leżał godzinami. Wyczółkowski doradzał mu na te dolegliwości najrozmaitsze „swoje sposoby", ale Jerzy nie chciał żadnego z nich stosować, twierdząc niezmiennie — że nie warto.

Do starego dębu nie chodził nigdy. Omijał to miejsce, jak zapowietrzone. Wolał nieraz nałożyć cały szmat drogi, aby tylko nie przejść w pobliżu miejsca, z którym związany został największy dramat jego życia.

Na wszelką zwierzynę i ptactwo polował jak dawniej, ale bez poprzedniego zapału i zamiłowania. Natomiast z namiętnością tropił dziki. Z pasją i nienawiścią. Jeśli się którego dnia uśmiechał, to można było wiedzieć na pewno, że rozciągnął jakiegoś odyńca czy maciorę.



Doraźne biuro informacyjne w sprawach wojskowych na jednej z ulic Londynu.

Wyczółkowski widział kilka razy, jak Jerzy poczyna sobie z tymi niebezpiecznymi zwierzętami, z lekkomyślnością, brawurą i z zawziętością, jaką żywić można do największego swego wroga. Ostrzegał go wielokrotnie, tłumaczył na jakie niebezpieczeństwo się naraża — ale wszystkie te jego gadania były grochem o ścianę. Jerzy słuchał, przyznawał mu rację, potakiwał — a potem robił swoje. Ilekroć młody człowiek długo nie wracał z lasu do domu, stary gajowy przeżywał okropne niepokoje, a w wyobraźni widział najstraszniejsze możliwości. Kiedy po powrocie Jerzego opowiadał mu to i robił serdeczne wymówki, Jerzy klepał go po przyjacielsku po ramieniu i mówił:

— Już teraz, mój Wyczółkowski, nic mnie w życiu złego spotkać nie może; choćbym wlazł w paszczę samemu lwu — jeszcze z niej wyjdę cało.

Któregoś dnia, w skwarne lipcowe wczesne popołudnie, Jerzy leżał w pobliżu gajówki na trawie. Podsunął ręce pod głowę i patrzył w niebo poprzez gałęzie drzew. Dokoła panowała cisza i martwota, jak zwykle w upalne dni. Drzewa stały bez ruchu, ani jeden listek na nich nie drgnął, kwiaty i paprocie wielkie i rozłożyste trwały zakamieniałe w męczarni upału, biała chmurka na bladym niebie zapomniała swej drogi i stała nieruchomo w miejscu.

Jerzy niezmiernie lubił takie dni. Senność i lenistwo, które ogarniają wtedy człowieka sprawiały mu wielką przyjemność. Poddawał im się biernie w zupełnym bezwładzie ciała i w półświadomej myśli. Wszelki ból i namiętności zamierały w sercu, ogarniał je całkowity spokój i obojętność, tak prawie, jak gdyby człowiek trochę umarł.

Był to wielki i niezmiernie cenny wypoczynek dla ciała i duszy.

Ale tym razem wypoczynek ten został przerwany nieoczekiwanie i brutalnie. Oto w pewnej chwili ukazał się w drzwiach gajówki Wyczółkowski i zawołał:

— „Panie inżynierze"! W kopercie do mnie adresowanej, przysłanej z leśnictwa, jest list do pana inżyniera.

Jerzy podniósł głowę i oparł ją na ręku. Nie ucieszył się listem. Od kogokolwiek pochodził niósł mu na pewno niepokój i zło. Z niechęcią mruknął przez zęby:

— Ki diabeł chce czego ode mnie! Że też od tych ludzi odczepić się nie można!

— Dać „panu inżynierowi"? — zapytał niepewnie Wyczółkowski.



Wesoła scena z ćwiczeń pokazowych japońskiej młodzieży szkolnej.



W U. S. A. zbudowano specjalne urządzenie, które przy pomocy systemu luster i pryzmatów pozwala dojrzeć zbliżający się zza wzgórza samochód.

— Już jak wiem, że jest, to dać. Ale trzeba było nic nie mówić, tylko wrzucić go od razu do ognia...

Gajowy podszedł do Jerzego i podał mu list.

Ten spojrzał na charakter pisma i wykrzywił twarz ironicznym, złym uśmiechem.

Był to list od Andrzeja.

Otworzył go i czytał:

„Drogi mój Jurku. — Dawno już Wyczółkowski nie dawał mi żadnych wiadomości o Tobie, więc niespokojny jestem o Ciebie i boję się, czy znowu nie zmalowałeś czego niedobrego. Myślę o Tobie bardzo często. Nie przesadzę, gdy powiem, że nie ma godziny abym o Tobie nie pomyślał. I nie masz pojęcia, jak bardzo mi do Ciebie tęskno. Nie chciałeś, abym do Ciebie pisał — więc nie pisałem. Dzisiaj musiałem to zrobić, aby Ci podać dobrą nowinę: wygraliśmy na loterii! Każdy z nas ma po 20 tysięcy złotych! Twoją część włożę do P.K.O. a książeczkę na Twoje imię wyślę listem poleconym na nazwisko Wyczółkowskiego. Szkoda, że nie więcej padło na nasz numer, bo moglibyśmy uratować Jeleńce. Nie wiem, co ty zrobisz z tymi pieniędzmi; jeśli chodzi o mnie, to nie ruszę ich. Będę się starał do nich dokładać, dopóki nie będzie można użyć ich w konkretnym celu. Ina jest tego samego zdania, bo do głębi serca przejęła się ideą odzyskania naszej rodzinnej posiadłości. Nie masz pojęcia co to za skarb ta dziewczyna. Dobra jak anioł, rozumna, zrównoważona — a kocha tak mocno, jak tylko kochać można. Jesteśmy bardzo szczęśliwi, bardzo. Jedyna rzecz, która mąci moje szczęście, to myśl o Tobie. Chciałbym, abyś porzucił tę dziką puszczę, w której się zaszyłeś, i abyś ułożył sobie życie normalnie i blisko nas. Wtedy niczego więcej już nie pragnąłbym. Czy nie było by to możliwe — pomyśl o tym, kochany bracie!

Ojciec zdrowy i wszystko u niego po dawnemu. Może czas by był, abyś się z nim pogodził. Nie mówi o Tobie i nie pisze. Ale ja wiem że myśli o Tobie bez przerwy i cała ta sprawa kamieniem mu leży na sercu. Nie zacinaj się tak bardzo i na tak długo. Nie wiadomo, ile Mu jeszcze Pan Bóg lat zostawił...

Nie gniewaj się na mnie za tych kilka słów „morałów". Mówię o tych rzeczach, bo mnie one obchodzą i bolą.

Ściskam Cię z serca całego i całuję mocno — daj znać, co się z Tobą dzieje — Twój Andrzej".

Dalej następował dopisek innych charakterem pisma:

„Drogi Jurku — Tak piszę po prostu, bo jeżeli jesteś bratem Andrzeja, tak bardzo przez niego kochanym, nie możesz i dla mnie nie być drogim Jurkiem. Bardzo często o Tobie mówimy. Chciałabym abyś porzucił to tajemnicze miejsce pobytu, o którym nic nie wiem, i przyjechał do nas. Obiecuję Ci, że jedynie ptasiego mleka brak Ci będzie u nas. Poza tym dołożę starań, aby Ci było bardzo dobrze i bardzo miło. Kocham Cię jak brata i czekamy na Ciebie z otwartymi ramionami.

Ściskam Cię mocno i serdecznie — Ina".

Jerzy upadł twarzą do trawy, przyciskając usta do słów pisanych przez najdroższą na świecie istotę — i leżał bez ruchu tak długo, że wreszcie zaniepokojony Wyczółkowski, wyszedł z domu i podszedł do niego.

— „Panie inżynierze" — rzekł cicho.

— „Panie inżynierze" — powtórzył po chwili, gdy Jerzy nie reagował na jego słowa.

Wtedy młody człowiek podniósł głowę i spojrzał na niego tępym, matowym wzrokiem.

— O co chodzi — zapytał.

— Nic... tylko myślałem, że może „pan inżynier" chory... czy co, bo tak leży jak nieżywy...

— Nie, nie jestem chory. — odpowiedział Jerzy ponuro i podniósł się. — Ustała trochę spiekota — zauważył — pójdę w las, może co ustrzelę...

— Ja także w las się wybieram, to może razem...

— Niech będzie. Chodźmy.

I poszli w milczeniu. Wyczółkowski miarowym krokiem pochylony z rękami, jak zwykle, splecionymi styłu na swojej syberyjskiej berdance jednorurce, Jerzy utykając na prawą nogę, Asan w wesołych podrygach, wietrząc na prawo i lewo.

Po pewnym czasie Jerzy zapytał:

— Widział może Wyczółkowski gdzie ślady dzików?

— A widział. Przeszły hen, koło białych brzóz.

— To chodźmy tam. Chciałbym dzisiaj jakiego rozciągnąć.

Wyczółkowski rzucił okiem nieufnie na towarzysza. Nie podobał mu się jego zacięty wyraz twarzy i ponure spod brwi spojrzenie.

„Dobrze, że razem idziemy" — pomyślał.

W określonym jednak przez gajowego miejscu dzików nie napotkano. Były owszem ślady ich przejścia, głęboko poryta ziemia — ale to wszystko. Jerzy nie rezygnował.

— Chodźmy dalej, tam na prawo — rzekł. — Coś mi mój nos myśliwski mówi, że nie na próżno wybraliśmy się w te strony.

Po dziesięciu minutach marszu, raptem Asan stanął w miejscu i podniósł łeb.

— Oho, węszy coś... — szepnął Wyczółkowski.

— Niech Wyczółkowski weźmie go na smycz. Jeżeli dzik, pies rzuci się i może być po nim — zauważył Jerzy.

— Nie taki on głupi... Nic mu nie będzie. Niech nam teraz wystawi zwierzynę.

Asan, jak gdyby zrozumiał słowa swego pana, pochylił nos ku ziemi i węsząc zaczął biec, rzucając się we wszystkich kierunkach.

Nagle do uszu myśliwych doszedł suchy trzask tratowanych gałęzi. Zwierza nie było widać, ale po odgłosach, jakie z jego strony dolatywały, można było wnosić, że na jakąś grubszą sztukę natrafili.

Obaj myśliwi pospieszyli w stronę skąd hałas dochodził. Asan znacznie ich wyprzedził. Ciężkie stąpania szły nie w ich kierunku, ale od nich. Zwierz uchodził. Trzeba było gonić go, w nadziei, że może zmieni kierunek i jednak wyjdzie bokiem na strzał. Bo w prostej linii uszedłby niezawodnie, zbyt szybko biega, aby człowiek w takim wyścigu mógł go dopaść.

Pospiesznie i gorączkowo przedzierali się obaj myśliwi przez gęste zarośla. Dzik wciąż był niewidzialny, ale wciąż znajdował się niedaleko. Przez te chwile, w których przystawał i prawdopodobnie nasłuchiwał, myśliwi nadrabiali przestrzeń dzielącą ich od zwierza.

(Ciąg dalszy na stronie 353)



23-letni syn ks. Kang-Teh, zarządcy autonomicznego państwa mongolskiego, przybył do Tokio, celem dokładnego przestudiowania stosunków japońskich.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

WIOSNA

Z listków akacji
Szczęście Ci wróżę...
i zapachniały
słowa — jak róże...
— — — — —
Świat stał się jasny.
— — — — —
Wierzbom w rozgwarze,
wiatr poroznosił,
puchowe bazie...
i aksamitne
chwieją wikliny...
Rosą srebrzone
drżą oziminy...
wartki strumyczek
kamyk potoczył...
— — — — —
Niezapominajki
Kładę na oczy...

„Romicz".

NA TRZECI MAJ

Ojczyzno droga! Ojczyzno miła!
Jam ponad wszystko ukochał Ciebie;
Miłość mojej przeczysta siła,
Co dzień mi serce do snu kolebie!

Pól Twych westchnienia, lasów poszumy.
To moje myśli, moje marzenia...
I śpiew upojny cichej zadumy
I mego serca miłosne drżenia!...

Ja Cię rozumiem, ja Cię pojmuję,
Znam każdą chmurę i każdą zorzę!...
Z Tobą się cieszę, smucę, raduję,
— I w Tym też łonie swe serce złożę!

Eugeniusz Halman.

DOBRE RADY PANI ZOFII

KOMUNIKATY „CZARNULKI ZE ŚWIECIA"

„Halo! „Smutny Marzycielu", będzie mi bardzo miło nawiązać z Tobą kontakt, jednak musisz napisać pierwszy, bo ja jakoś nie mam odwagi. Odpowiedź pewna. Więc czekam i pozdrawiam.

Ucałowania i uściski dla Irki P. — w Rakowicach. Jak się masz Kochanie? Pozdrów milusio Twoja „Połowę" i wszystkich w Tczewie. Niedługo napiszę do Was, na razie pa"!

„Czarnulka ze Świecia".

PROSZĘ O ADRESY!

O nadesłanie adresów, celem dosłania zalegających w redakcji listów, proszeni są pp.: Sobiesiakówna Jadwiga z Poznania, „Armeńczyk", „Kameleon II", „Armida", A. Kuśnierczak z Poznania, „Ejgo - Ejgo"...

CZY ZAUWAŻYŁEŚ?

„En - Ka". Odpisuję na wszystkie Twoje listy. Czy zauważyłeś, że przysłałeś mi dwa listy równocześnie i o podobnej treści? Widocznie spodziewałeś się, że jeden list zaginął. Zatem daję komunikaty z jednego tylko listu, aby się nie powtarzały.

Listy Pana dosłałam. Łączę miłe pozdrowienia!

„Jagienko". Czy gniewasz się na mnie, czy też inny jest powód milczenia. Odpowiedz mi.

„Koralowe usta". Napisz do mnie. Chętnie prowadziłbym z Tobą korespondencję. Daleko jestem od Ciebie, ale to chyba nie byłoby przeszkodą.

„Mała Wróżka". Chciałbym Ci podać rękę, byś mi powiedziała coś o przyszłości. O ile jesteś odważną, to napisz do mnie.

„Kochane Dziewczątko". Zastosowałem się do życzeń Twoich i czekam na rezultat.

Całej „Krainie" ślę podchorążackie pozdrowienie".

ŚWIAT JEST PIĘKNY?

„Smutnooki Jasio". Naturalnie, że nie zamierzam wypuścić z opieki tego „marzycielsko — melancholijnego" Jasia i absolutnie nie tracę nadziei, że go jeszcze kiedyś ujrzę radosnym i... niepamiętnym na dawne melancholie! Nie tracę tej nadziei, ba, lepiej, bo ośmielam się twierdzić, że Ty już zapomniałeś o dawnych smutkach. Czy mi zaprzeczysz? Kto tak wesoło krzyczy: „Świat jest piękny, a ludzie na nim moimi braćmi!" — ten chyba nie może ulegać hydrze apatii i tym podobnym dziwolągom. Więc?...

Posyłam Ci uśmiech życzliwy.

„Pieśniarzu". Zainteresowałeś mnie swoją osobą. Od dawna piszesz wiersze? „Smutnooki Jasio" chciałby z Tobą korespondować. Może kolega zgodzi się na moją propozycję i wyręczy mnie pierwszy, za co z góry dziękuję!

„Stefcia" i „Lucia". Ciekawi mnie, jaką posadę otrzymała „Lucia". Czy Pani pracuje w którymkolwiek biurze, jak ja i czy z wykonywania obowiązków jest zupełnie zadowolona?

P. H. C. Podoba mi się Pani temperament.

„Aniela Wolna". Jestem zachwycony Pani wierszykiem p. t. „Przedwiośnie".

Zasyłam miłe pozdrowienia ludowi „Krainy"!



Ogromnym wdziękiem tchnie twarzyczka „Śniaduli"

KIEDY NADEJDĄ...

Kiedy nadejdą pierwsze dni maja
I świeża zieleń rzuci kobierce,
Dusza się jakoś rzewnie nastraja...
Kiedy nadejdą pierwsze dni maja...
I szczęścia zmieścić nie może serce...

Kiedy nadejdą majowe dzionki,
W wieczory gwiazdy błysną rozliczne,
Z polnej kapliczki, jak srebrne dzwonki
Popłyną do stóp Bożej Patronki
Dziewczęce pieśni długie i śliczne...

Kiedy nadejdzie w swej krasie wiosna,
Tysiące kwiatów zmiesza swe wonie,
Na ziemię zstąpi Pani radosna,
Królowa Nieba, Matka litosna —
Nad dolą ludzi pochyli skronie...

I patrzeć będzie w te ludzkie dusze,
Często od smutków chore, zbolałe...
Przedobry uśmiech rzuci w ich głusze,
Obudzi wiarę w zwątpień zawierusze,
Że znowu kwiatem staną się białym...

Błogosławić będzie wszystkiemu, co rośnie,
Blaskiem słońca naświetlać, co wątłe i blade...
Prostować pochylone, jak Matka miłośnie...
Do życia budzić uśmiechniętej wiośnie —
Zostawiać ziemi Swych świętych stóp ślady...

I na tych brzegach, gdzie rosną stokrotki,
Którędy przeszła Matki Bożej nóżka,
Zakwitną wszędzie małe niezabudki,
Jakby rozsiała je radosna wróżka...
Cudnie błękitne, jak brzeg Jej sukienki.
Królowej Nieba, Najświętszej Panienki.

Zofia Borucka.

KTO NAPISZE?

„Czarny Hajduczek". Więc zdrowa już jesteś, Dziewczynko? Wzruszyło mnie bardzo zdanie o serdecznej przyjaźni, jaka wiąże Ciebie z „Blanką" i „Małą Konwalijką". Przyjaźń — to niezmiernie cenne uczucie i trzeba je pielęgnować pieczołowicie, aby nie zwiędło, lecz odwrotnie, żeby potęgowało się z upływającymi latami. Bardzo mi miło stwierdzić, że część w tym mojej zasługi — jak piszesz.

A teraz pozwolę sobie przedrukować część Twego listu.

„Aha — Pani Zosiu, czyżby w naszej „Krainie" nie było gentelmenów? Podałam apel a nikt z tych panów nie napisał — to brzydko z ich strony, prawda?"

Pewnie! Myślę, że tym razem jednak poprawią się.

„Mała Konwalijka". Piękne kwiaty, tak cudownie rozsłoneczniły monotonię pokoju szpitalnego. Dowodami serdecznej pamięci jestem dziś jeszcze głęboko wzruszona. Całuję buźkę i z serca dziękuję.

„Blanka". Ty również umilałaś mi pobyt w szpitalu. Czytając wierszyk, płakałam — wierzysz? Taki był prawdziwy. Nie zapomnę Twej dobroci. Obecnie — już lepiej, już uśmiecham się tak, jak Ty lubisz i całuję — Pa!

„Siboney". Jesteś przemiła. Napisz do mnie, odpiszę Ci. Jestem również wesoła jak Ty, i w jednym wieku. Czekam i ściskam łapeńki — Pisz.

„Rozbójniku". Sądzisz, że jestem miła, chcesz napisać? Proszę, może warto, bo czasem jestem naprawdę miła. Pozdrawiam — i czekam.

„Chochliku"! Taka cisza? Dlaczego? Coś chciała wiedzieć? Wyjaśnij! Serdecznie Cię pozdrawiam.

Panie — Halina Czarska, „Jadwiga Limba", Eleonora Klidzia, „Uśmiech Szatana", „Samotna Limba", „To-ja", H. Thielówna i H. Justyńska — przesyłam słowa szczerego uznania za piękne wiersze.

„Marutę", „Helusieńkę", „Złoty Dzwoneczek", „Przedwiośnie", „Dumkę", „Barcię"; „Czar Młodości", „Uśmiech Poranka", i wszystkie Czarnulki — serdecznie pozdrawiam.

WINSZUJĘ!

„Szczęśliwa żona". Ejże, Droga Moja, nie tak znowu bezskutecznie wypatruje Pani swoich wierszyków na łamach „Krainy"! Wszak stale zamieszczam je, tak ja, jak i „Wujek Janusz". Rzecz jasna, że nie możemy jedynie Twoich drukować wierszy, lecz z drugiej strony zaznaczam, że prace Twoje wcale poczesne miejsce mają w „Krainie". Czy może mi Pani z czystym sumieniem zaprzeczyć?

Bardzo mi się Państwo podobacie, a co ważniejsze — wyglądacie na rzeczywiście bardzo szczęśliwe małżeństwo! Winszuję Wam! Dlatego to czynię, że imponuje mi dobre małżeństwo pod te hołdujące rozwodom czasy!

Czy przyjaciółka Pani z „Krainy" skorzystała z zaproszenia na święta wielkanocne?

Prace Pani ocenił już „Wujek Janusz", o ile dobrze się orientuję.

Dziękuję Pani serdecznie za dobre życzenia i łączę mocny uścisk dłoni!

KRÓLEWICZ MAJ

Królewicz Maj rozwinął kwiecia krocie,
I rzucił czar na pola, łąki, lasy.
Błękitne fiołki, zielone paprocie
Mienią się w złocie słońca, pełne krasy.
Królewicz Maj na senną spłynął ziemię,
Słowiczy chór rozśpiewał w pieśń miłosną,
Czy zbudzi on uczucia, co już drzemią?
Czy dla serc skrzepłych maj ten będzie wiosną?
Czy biel narcyzów i szept konwaliowy
Potęgą swoją wznowi wiosnę życia?
Czy świt różany, przedziwny majowy
Rozetli iskrę z popiołów ukrycia?
Królewicz Maj czy serce moje zbudzi?
Może w mogilnych cieniach je pogrzebie?
Trwogę mam dziwną, coś mnie męczy, ludzi.
O królewiczu mój — ja kocham Ciebie!

Ignacja Piątkowska.

CUDOWNIE...!

„Zaira“. Wiesz, wolę poczekać na zdjęcie, w którym będziesz już cała po „cywilnemu“, zatem pospiesz się z wysyłką takowego.

Jak wygląda pod te czasy Twój przyjaciel świerk spod okna? Zamyślił się zapewne ciężko nad zmiennością aury i wyniosłą sylwetką ciemniej w jasnym powietrzu wiosny...

Cudownie, że zrozumiałaś przecież, iż życie mieści w sobie mimo wszystko moc radości — tylko trzeba ją umieć chwytać. Wierszyk wręczyłam Wujkowi. Posyłam Ci uśmiech radosny — pa!

OCENI WUJEK JANUSZ

„Irusia z Wołynia“. Bardzo brzydki kawał zrobiłaś mi, Dziecko i doprawdy zrozumieć nie mogę, jak mogłaś się zdobyć na coś takiego. Zapewne nie umiesz zdać sobie sprawy z tego, jak dalece ja żyję Waszym życiem, skoro na myśl nie przyszło Ci, że mogę ciężko odczuć tę zmyśloną wiadomość. Mniejsza. Cieszę się, że jesteś zdrowa i nic złego Ci nie grozi. Wierszyki Twoje oceni, jak zwykle „Wujek Janusz“.

Piszesz, że ładnie wiosną na Wołyniu — wierzę i zazdroszczę Ci trochę tamtejszych uroków. Szanuj swoje zdrowie, Ty Pędziwietrze! Co do moich odpowiedzi, to będę je dawała jak dotąd, gdyż „Rodzinka“ nie zgodziła się na realizację owego projektu.

Bardzo będę rada powitać Cię w Żninie, tylko uprzedź o swoim przyjeździe, abyś nas zastała w redakcji.

Co do owego wiersza p. Halmana, to sądzę, że poświęcił Ci go bez jakichś ukrytych złych myśli. Napisał wiersz i zadedykował, nie bijąc treścią w osobę, której go poświęcił.

Łączę pozdrowienia i zamieszczam komunikaty:

„Biały Wrzos“! Śliczne są Twoje wierszyki. Całuję Cię mocno i proszę o jeden.

Halo! Może jest ktoś w „Krainie“ z Radomia, to proszę do mnie skrobnąć — jestem radomianką.

Wszystkim poetkom i poetom uściski!

„Lidusia“ przyjedź. Całuję Cię.

„Ariana“. Marek na święta nie przyjechał. Całuję Cię tak jak wiesz i proszę o list.

„Zosia Wołynianka“. Dziękuję za pamięć. Pracuję na Wołyniu już dwa lata, blisko Kiwerc. Może napiszesz. Całuski od Lusi.

„Wołyniak“. Zgadł pan. Pozdrawiam.

„Pell“. No i co dalej? Pozdrawiam.

„Uśmiech Szatana“. I Ty jesteś mi pokrewną duszą. Całuję Cię. Śliczne są Twoje wiersze. Naucz mnie tak tworzyć.

„Wiedźma z Debry“. Dziękuję za pamięć i ślę mocnego całusa.

„Chochlik“. Dlaczego nie odpowiadasz, czy może uraziłam Cię czym? Ściskam.

„Uran“. Jest mi bardzo przykro, postaram się jednak poświęcić panu kilka nieco milszych słów. Może się Pan zechce wytłumaczyć.

Wszystkim, którzy w komunikatach dają dowód swego serca dla mnie — dziękuję i odwzajemniam.

Całą „Krainę“ pozdrawiam!“

LATAWCE

Małe, sprytne zuchy wiejskie,
dziś na pole się wybrali...
wczoraj bowiem przy kominku,
ptaka swego... szykowali...

Choć zziębnięte mają ręce,
nie martwią się wcale,
patrzą — czy jest wiatr pomyślny,
w pochmurnej oddali — —

Już im wzleciał hen, nad łąki —
papierowy ptak jesienny...
może goni za błękitem,
czy za słonkiem tym promiennym...

Nadszedł wieczór — czas do domu...
ptak zmęczony opadł nisko —
bo wiatr skończył z nim zabawę...
zasypiając na ściernisku...

Więc zanieśli go do domu,
jutro go pokażą w szkole...
a po lekcjach znów z nim pójdą,
bawić się na puste pola — —

Jan Feliks Płóciennik.



Piękne tło wybrała sobie „Góraleczka“ — czyż nie sądzicie, „Krainiacy“?

BĄDŹ ZADOWOLONA...

„Czarna Perełka“. Śliczny list napisałaś, czytałam go z prawdziwą przyjemnością. Masz rację, wiosna tak odżywczo wpływa na człowieka, w jej powietrzu jest tyle świeżości, ze słodkiej zieleni traw płynie tyle optymistycznych nadziei — że największy pesymista musi rozjaśnić swoje oblicze i wzbudzić w sobie choć odrobinę wiary w dobroć jutrzejszych dni.

Dziękuję Ci bardzo, miła Dziewczynko, za obietnicę przysłania mi swej podobizny. Martwisz się swym wzrostem? Nie trzeba! To mało ważne — ważniejsze jest umiejętność zjednywania sobie serc ludzkich i właściwość wysnuwania z każdej sytuacji maksimum zadowolenia. A to chyba potrafisz, prawda Dziecino?

Z NADZIEJĄ

„Smutna Ślązaczka“. Cieszę się niewymownie polepszeniem stanu Twego zdrowia, Droga Moja Przyjaciółko, co nie przeszkadza mi w dalszym ciągu słać od czasu do czasu cichej modlitwy do Niebios o zdrowie całkowite. Pragnę, aby nie nigdy nie bolało Cię i nie gnębiło!

Dziękuję za pozdrowienia, nadesłane z Chorzowa — skąd się tam wziąłaś? Gdzie byś nie była, życzę Ci przyjemności!

Komunikaty zamieszczam poniżej z nadzieją, że nie będziesz mnie zbytnio łajała za konfiskatę tego pierwszego. Całuję Cię wiele razy i czekam na nowy znak!

P. Marii Dz. z Łodzi serdecznie dziękuję za fatygę i pozdrawiam!

„Anetka III“. Dziękuję Ci Kochanie. Ty jak zawsze, chętnie ofiarujesz swoją pomoc. Rada bym Cię widziała u siebie, ale jako gościa. Pa!

„Uśmiechnięta Wandulka“. List otrzymałam, dziękuję! Odpiszę wkrótce. Nazwisko trochę nieczytelne, ale postaram się! Widziałam Cię już, jechałaś tym samym pociągiem. Pa!

„Zymełka“. I o Tobie nie zapominam. Zdjęcia moje były w „Krainie“ w nr. 31 z 1937 roku. Postaram się o nowe, ale dopiero jesienią, zgadzam się? No więc pa!

„Nieszczęśliwa Ninusia“. Czy tak trudno spełnić moją prośbę? Czekam! Przyjmij pozdrowienia.

„Biała Uajali“. Jesteś bardzo milutka na zdjęciach, szczególnie z Lordem. I ja lubię zwierzęta. Ślę pozdrowienia.

„Kleopatra“. Kochanie, dziękuję za pozdrowienia i również pozdrawiam. Ależ dzidziusiu, czego Ty się obawiasz? Mnie? Zapewniam Cię, że mam bardzo łagodne usposobienie. Może jednak napiszesz pierwsza, bo ja obecnie jestem cała pochłonięta robotami rolnymi. Sama muszę wszystkiego dojrzeć, bo nie ma mnie kto zastąpić.

„Jadwiba Limba“. Podziwiam Pani optymistyczne nastawienie do życia..

„Przeklęta Iwa“. Rozumiem Cię. Wszystkie Twe słowa, są jak wyjęte z mojego życia.

„Szara Fala“. Taka jesteś poważna i smutna na zdjęciu — dlaczego? Pozdrowienia.

„Smutny Marzyciel“. Brawo! Jesteś pierwszym, który na łamach „Krainy“ śle mi pozdrowienia. Co prawda, to ja się o to nie starałam, bo chociaż w „Krainie“ uchodzi dużo, ja jednakże mam inne zapatrywania. Za to „Krainianki“ są ogromnie milutkie i strasznie kochane — prawda? Ślę mocny uścisk dłoni!

SŁUCHAMY...

„Samotna Blondyneczka“. Już się nie przejmuj, Dzieciaku, tym, że zechcę przestać odpowiadać na Wasze listy — wszak powiedziałam, że mogę przestać, jeżeli będzie Wam to odpowiadało. Ale ponieważ nie zgodziliście się na takie rozwiązanie sprawy, przeto pozostaje wszystko, jak było.

Wiem, Dziecino, że nie wszyscy w „Rodzince“ są słowni, ale nic na to nie poradzę. Do uczciwości i słowności zmusić nie można nikogo. Dobra wola winna starczyć tu za przymus zewnętrzny — dobra wola każdego członka „Rodzinki“.

Owszem, możność zobaczenia, jak wygląda „wiosna na polu otwartym“ istnieje dla wszystkich, trzeba ją tylko umieć wykorzystać. Co do mnie, to urządzam czasem dalekie spacery za miasto, aby posłuchać „jak rośnie trawa“ i jak pękają lepkie pączki kasztanów, tudzież innych drzew.

Ogromny jest Twój entuzjazm dla wiosny, skoro wierzysz nawet, że wraz z wiosennym poszumem przypłynie do Ciebie coś niesłychanie radosnego, dobrego. Wierzyć, to znaczy osiągać — myślę, że osiągniesz to „coś“, na co czekasz tak pogodnie i ufnie.

Numery okazowe zostały wysłane.

Całuję Cię i przedrukowywuję komunikaty.

„Specjalnie serdeczne pozdrowienia zasyłam Nince S., „Białej Uajali“, „Smutnej i Brzydkiej Irce“, „Smutnej Dziewczynce znad Gopła“, „Dziewczynce z zaklętego młyna“ i „Nieszczęśliwej Ninusi“.

„Biała Uajali“. Śliczny, lecz trochę melancholijny jest wierszyk Pani p. t. „Białe sny“. Może wiosna przyniesie je Pani...

„Burza“. — Wiesz już, że to żaden zbieg myśli lecz zwykłe pomieszanie komunikatów. — Pozdrawiam.

„Samotny S.“ Dziękuję za uprzejmość.

„Szepczący“. — Mam pewne dane, że nazwisko twoje jest K......k, a mieszkasz w Grodzie Lecha nr. 6. „M. P.“ ładny był — prawda? — Jeżeli chcesz dowiedzieć się, skąd wiem, to i owo, napisz do mnie. Adres mój u „Pani Zosi“.

Osobne pozdrowienie ślę dla „Maleńkiej Lilei“. — Milutka dziewczynko, czy jesteś Polką? Daj odpowiedź w „Krainie“ i wiedz, że ja Cię polubiłam — pisz częściej proszę do nas do „Krainy“.

JAK TO BYŁO...

„Strzała amora“. Kochanie! Jeżeli przekonana jesteś, że lepiej będzie dla Ciebie zamknąć się w sobie i nie mówić mi o tym, co boli — to nie nastaję. Lecz jeżeli nie masz tej pewności, wówczas doradzę Ci raczej wypowiedzieć się. Wiem, że podzielenie się przykrościami z kimś życzliwym zawsze sprawia wielką ulgę.

Zdaje się, że osoba, o którą zapytujesz nie należy do „Krainy“. Absolutnie nie pamiętam tego nazwiska.

Dziecino, czy Ty mnie prosiłaś o list prywatny? Takie odniosłam wrażenie przy czytaniu końcowego zwrotu w Twoim liście. A czy to jest konieczne?

Powiedz mi też, czy w roku 37 nie jechałaś ze mną z Białegostoku w kierunku Grodna w wigilię Gwiazdki? Fotografia Twoja dziwnie przypomina mi moją rozmówczynię w podróży. Pani ta miała zielone palto, oryginalnie przybrane fokami i była bardzo do Ciebie podobna.

Pozdrawiam Cię serdecznie i oznajmiam „Rodzince“ Twoje serdeczności.

MIŁO MI BĘDZIE!

„Szukające Dziewczątko". Przyjmuję Panią do „Krainy", lecz zaznaczam, że powinnaś sobie obrać inny pseudonim, gdyż ten jest co najmniej ekscentryczny.

Zgodziłam się odpowiedzieć Ci pod nim jedynie dlatego, że nie załączyłaś adresu, a sprawę przedstawiłaś mi jako niezwykle pilną z uwagi na swój wyjazd w początku maja.

Miło mi będzie poznać Cię, gdy odwiedzisz mnie w pierwszych dniach maja — oby tylko decyzja Twoja nie uległa zmianie! Pamiętaj zatem, że oczekuję Twej wizyty. A teraz przechodzę do komunikatów:

„Całuję Kochane wszystkie „Krainianki", pozdrawiam i uśmiecham się do „Kraniaków". Proszę o pamięć i częste listy!

„Szukający Podchorąży". Czego Ty szukasz? Czy tego, co „Szukające Dziewczątko?" Czy dotąd nie znalazłeś? Będziemy razem szukać. Skradłam Ci Twój pseudonim. Nie gniewasz się? Bardzo mi się podobasz na zdjęciu w „Krainie". Chciałabym Cię poznać. Proszę napisz! Pozdrawiam Cię!

„Smutna Dziewczynko z nad Gopła". Dlaczego jesteś smutną? postaram się rozweselić i pokochać Cię, Kochana Dziewczynko. Chciałabym Cię poznać. Proszę napisz do mnie. Całuję Cię.

„Chochlik". Z przyjemnością spędzę z Tobą lato. Czytałam Twój apel. Całuję Cię, Nieznana Dziewczynko i proszę pisz!

„Wirrycie"! Ktoś Ty? — zaciekawiasz mnie.

Specjalnie całuję „Lusię" i pozdrawiam „Starego Wojaka". Czy to Twój Braciszek? To wcale młodziutki dzieciak — napisz Kochana, i poproś „Starego Wojaka", aby się odezwał do mnie. Proszę o długi list!

Pozdrawiam i proszę o listy: „Stepowy Płomień", „Młodego Orła", „Przedwiośnie, „Znudzonego", „Paddy incognito", „Armeńczyka", „Obserwatora", „Ovambo", „Bella Donnę", „Księżniczkę Henriettę", „Ejgo-Ejgo", „Krzysię - leśniczankę".

„Jagódko Leśna"! Jestem Twoją rodaczką. Zaciekawiłaś mnie swoją osóbką. Podobasz mi się. Całuję Twoją śliczną buźkę. Chcę się z Tobą poznać, Kochana Dziewczynko!

„Złoty Dzwoneczku"! Pozdrów porucznika H. prawdopodobnie znam go. Ciebie nie znam. Proszę o list, śliczna dziewczynko!

„Zuch Dziewczyna". Czy mogę Cię kochać? Gdy napiszesz, zaproszę Cię do Jarocina. Proszę pisz! Całuję Twą uroczą buźkę.

„Marzenka z Ameryki". Całuję Cię, Kochana siostrzyczko z daleka — napisz do mnie. Przyślę Ci swoje zdjęcia. Całuję Cię na odległość.

Uwaga: Kochane „Krainianki". Zbliża się maj, i zalecano mi, abym gdzieś w uroczym zakątku spędziła 2—3 tygodnie. Okolica jest mi zupełnie obojętna. Zależy mi na tym, abym czuła się swobodnie i w miesiącu tym użyła dużo słońca i radości. Proszę Was, Kochane „Krainianki", o niezwłoczną odpowiedź, która zgłosi się mnie przyjąć. Oczywiście za opłatą! Proszę Was o odpowiedź do 10 maja. To termin najpóźniejszy.

Tymczasem Was całuję i proszę jeszcze raz o listy.

Ciekawa jestem kogo najprędzej poznam? Listy proszę kierować pod „Szukające Dziewczątko", poste-restante, Jarocin Poznański.

MYŚLĘ...

„Wesoła Wdówka". Stawiasz mi zarzuty, że za mało zająłam się Tobą w pierwszej odpowiedzi — nie wiem, ale zdaje mi się, że są one bezpodstawne. Za to dziś przepisuję wszystkie Twoje komunikaty i myślę, że one zjednają sobie same sympatię „Rodzinki". Jeżeli pominęłam Twoje komunikaty w poprzedniej odpowiedzi, to musiałam mieć po temu powód. Czy chcesz mnie sprowokować do tłumaczenia się przed Tobą? Mam kilka setek Sympatyków w „Krainie" i nikt z nich nie okazuje mi swego niezadowolenia. Zatem?

Posyłam Ci uprzejme pozdrowienia i przechodzę do komunikatów:

„Halo! „Krainiacy" i „Krainianki"! „Wesoła Wdówka" wyciąga do Was łapki na powitanie. Chce Was poznać bliżej, czytać Wasze milutkie wiersze i liściki i pośmiać się z Wami serdecznie.

„Wiedźma z debry". Okropny kontrast tworzy Twoja miła buźka z Twym pseudonimem Napisz coś do mnie, chcę Cię bliżej poznać. Lubię Twe wiersze. Pa!

„Zaira". Bardzo mi odpowiada Twój wiersz „Nie płacz". Ja zawsze tak robię. Śmieję się, choć czasem łzy nabiegają do oczu. Ślę milutkie pa!

„Zabłąkany Chłopiec". Podobno grzeszysz gadulstwem, a ja lubię takich, więc odezwij się! Odpowiedź pewna. Ślę Ci miły uśmiech.

„Szukający". Przyjmij dużo miłych pozdrowień od dawnej znajomej.

Wszystkim „Krainiankom" i „Krainiakom", serdeczności".

I WYJDŹ RADOŚCI SAMA NAPRZECIW

„Smutnej Marioli" — poświęcam.

Słońce całuje z uśmiechem pola,
— Tam — przy parkanie bez się rozwinął...
Przez okno patrzy „Smutna Mariola"
...Dlaczego jesteś smutna, Dziewczyno?

Patrz! Wiosna! Świat się w radości kąpie.
Maj swoje dróżki kwieciem wymościł.
Wierz! Tobie los nie poskąpi
Chwilek radosnych — szczęścia w miłości.

O nie bądź smutną i pesymistką!
(Spełni się, o czym marzysz po nocach)
Szukaj, a może szczęście jest blisko,
Może je znajdziesz w kochanych oczach...

Widzisz — jak słońce radośnie świeci?
(Weź się do walki ze smutną dolą)
..i wyjdź radości sama — naprzeciw,
Nieznana, droga, „Smutna Mariolo".

„Jadwiga Limba".

STUK, PUK...!

„Słodka Jagódka". „Stuk-puk" uderzam dziś do bram „Krainy" i przedstawiam się całej „Rodzince". Jestem sobie młoda i wesoła szatyneczka o ciemno-piwnych oczach. Mieszkam na wsi obok dużego jeziora. Prawdziwa rozkosz dla mnie, to kąpać się w naszym jeziorze, no i pochwalę się, że umiem świetnie pływać. Lubię też bujać po łąkach, śpiewać i zbierać kwiaty. Z zachwytem w majowe wieczory wsłuchuję się w koncert radia i powtarzam sobie: Jaki piękny jest świat, jak dobrze jest żyć, ach, żeby ta młodość nigdy nie minęła...

Pragnieniem moim jest — poznać takie same życie drogą korespondencji. Może napisze do „Słodziutkiej Jagódki" ktoś z Zaolzia, Pomorza, okolic Starogardu, a może nawet i z Czerska — często tam bywam.

Na koniec dla całej „Krainy" ślę serdeczne pozdrowienia oraz załączam milutki uśmiech."

DLA MŁODEJ PANIENKI — TIUL

„Grażyna". Więc ostatecznie zdecydowałaś się na pseudo „Grażyna". To dobrze!

Ostatnio był w „Raju kobiet" śliczny model sukienki balowej dla młodej damy — patrz nr. 16 br. W „Mojej Przyjaciółce" nr. 10 będzie ponadto kilka ładnych modeli.

Możesz toaletę balową uszyć z błękitnego tiulu na spodzie różowym lub vice versa. A może też być tiul biały na spodzie seledynowym. Jeżeli suknia byłaby uszyta stylowo, to spód winien być z tafty lub organdi. Włosy najodpowiedniej do twarzy i sukni ułoży Ci fryzjer. Naturalnie dobry fryzjer!

Życzę Ci powodzenia na balu i zamieszczam komunikaty:

„Zbłąkany Chłopiec". Czy jeszcze ciągle błądzisz? Gdyby Twój list zabłądził do mnie odpiszę na pewno. Więc czekam.

Całej „Rodzince" moc serdecznych pozdrowień i wiele czarujących uśmiechów".

TĘSKNOTA ZA BŁĘKITEM OJCZYSTEGO NIEBA

„Maleńka Li-Lea". Kochanie, wierzę Ci, że tęsknisz tam za oceanem do naszych polskich łąk, lasów i pól. Że język ojczysty brzmi Ci najczarowniejszą muzyką, a dźwięk organów w polskim kościele przywodzi na myśl błękity ojczystego nieba, które nie zawsze są bezchmurne, ale zato zawsze najukochańsze i niezastąpione!

Może tęsknota Twoja uradośni się nieco, gdy wielkie transoceaniki przywozić Ci będą białe i barwne listy, wysłane od miłych Ci sympatyków „Krainy". Piszcie, „Krainiacy" obojga płci do „Maleńkiej Li-Lea", posyłajcie jej słowa dobre z jej starego kraju i łączcie ją z nim pomostem przyjaźni serdecznej, niekłamanej, która wyrazi się w regularnej korespondencji.

Całuję Cię, Droga Dziewczynko, i niecierpliwie oczekuję nowego znaku, że żyjesz i myślisz o nas!

Cała „Rodzinka" dziękuje Ci za pamięć i wzajemnie śle serdeczności!

CEL DOBRY

„Meritta" i „Zapomniana Znajoma". Dzieciaki Miłe! Nie mogę niestety dostarczać Wam zużytych znaczków pocztowych, gdyż dajemy wszystkie jednemu potrzebującemu. Cel jest równie dobry, a potrzeba jeszcze większa!

Dziwię się, że nie wywołałyście zainteresowania „Rodzinki" — wszak jesteście tak ogromnie miłymi dziewczynkami! Ale nie traćmy nadziei — to się naprawi i ani się spostrzeżecie, jak staniecie się faworyzowanymi członkami „Krainy".

Pozdrawiam Was jasnym uśmiechem.

Komunikaty:

Halo ! „Krainiacy" — tutaj „Meritta" i „Zapomniana znajoma"! Może kto ma używane znaczki pocztowe, nie mające wartości? Zwracamy się z prośbą o przesłanie do nas, za co będziemy bardzo wdzięczne.

„Meritta" przesyła uznanie dla: „Białej Ujali", „Blanki" i „Jadwigi Limby" za cudne wierszyki, prosząc o jeden dla siebie. Załączam pozdrowienia dla „Wołyniaka", „Dżentelmena ze Śląska", „Assa" i proszę ich o list, a chętnie się zrewanżuję.

A tu „Zapomniana znajoma"! Ślę milusie uśmiechy dla „Tyrana", „Samotnego Chorzów I" i „Romantycznego śpiewaka" z prośbą o poświęcenie kilku chwil dla mnie.

Dla całej „Krainy" wagon pozdrowień!"

DWA ZAPYTANIA

„Maleńka Reri". Jak mnie to ogromnie cieszy, Dziecinko! Jedno i drugie cieszy mnie niesłychanie.

„Dobra Wróżka" jest dziś uśmiechnięta, jak najbardziej wiosenne słońce. Ale ma dwa zapytania: 1) Czy „Maleńka Reri" będzie zawsze wierna „Krainie"? 2) Dlaczego już nie chce pisać wierszy?

„Wujek Janusz" zmartwi się na pewno tym Twoim postanowieniem. Więc jak będzie?

Czekam niecierpliwie na odpowiedź, a na razie posyłam Ci promienny radością uśmiech!

Komunikaty: „Avery". Za buziaczka ślicznie dziękuję! Moją siedzibą stałą jest miasteczko 10 km. od Poznania, za tym osądź, czy dojdzie on nienaruszony, a wówczas ja go w 100 procentach odwzajemnię. Może skrobniesz"?

Dla „Jadzi", „Złotego Dzwoneczka", „Czarnulki znad Noteci", „Takiej sobie Haliny" i „Doni" — Serdeczne uściski i prośba o liściki. Dla całej „Krainki" — słoneczny uśmiech"!

MOŻLIWE TYLKO...

„Czekoladowa Księżniczka". Przyjmuję Cię do „Rodzinki" i proszę, abyś czuła się w niej, jak w zaczarowanej „Krainie", w której „Czekoladowe Księżniczki" żyją w zgodzie z okrutnymi „Rozbójnikami", groźnymi „Uśmiechami Szatana" i niezłomnymi „Białymi Orłami". W innej jak zaczarowanej, krainie nie byłoby to możliwe.

Na razie ślę Ci uśmiech i w Twoim imieniu apeluję do „Romeczki ze Lwowa" oraz „Irusi z Wołynia", aby zechciały nawiązać z Tobą korespondencję pierwsze, bo Ty nie umiesz zdobyć się na tę odwagę.

Całą „Krainę" pozdrawiasz i prosisz o pamięć.

„KRAINIACY!"

„Dziś, nie szukam już! — Odnalazłem... Spośród tylu pereł, jedna stała się moją! Jakże słusznymi okazały się me słowa niedawno przebrzmiałe, że jeśli odnajdę kiedykolwiek „odpowiednik", to tylko w „Krainie".

Tak! — Ona — to jedna z Was, „Krainianki"! Nie pójdę już dalej sam, bo ze mną „Moja Maleńka"!!! Jeszcze raz dziękuję za szczere i żywe zainteresowanie się mą osobą. Proszę też wybaczyć wszelkie niedociągnięcia, gdyż odpowiedzieć na każdy list, czy odzew, to ponad moje siły.

Całej „Krainie" serdeczne pozdrowienia.

„Marzyciel Mulforda".

OCZEKUJĘ LISTU

„Przedwiośnie". Załatwiłam sprawę wysyłki „Moich Powieści" na nowy adres. W sprawie Twego zapytania, wyjaśniam, że widocznie

list ten przez niedopatrzenie dostał się do mei teczki — czy odpowiedź ode mnie taka Ci była przykra?

Cieszę się, że poznałaś Ryśkę i że polubiłyście się tak bardzo.

Życzę Ci wszystkiego najlepszego i oczekuję wyczerpującego opisu Twego obecnego życia.

Komunikaty: „Zuch-dziewczyna". Tak dobrze było mi z Tobą — tęsknię i czekam na chwilę w, której się z Tobą będę mogła zobaczyć!

„Erosie"! List otrzymałam i... nic nie rozumiem. To widocznie pomyłka. Miło pozdrawiam.

„Charkowiance" odwzajemniam ucałowania".

POZDROWIENIA Z WENECJI

„Smutna Dziewczynka znad Gopła" nadesłała nam serdeczne pozdrowienia z Wenecji. Dziękuję jej w imieniu całej „Rodzinki" i życzę przyjemności oraz wiele, wiele wrażeń, a ponadto szczęśliwego powrotu do kraju.

MASZ SILNĄ WOLĘ

„Złota Jutrzenka". Godzę się na uzupełnienie Twego pseudonimu, Miła Moja i spieszę wyrazić wielkie zadowolenie, że odezwałaś się po swoim przedłużonym nieco milczeniu. Co zaś do Twoich domysłów, to muszę wyjaśnić, że były one błędne. Czy jesteś wobec tego zadowolona?

Cieszy mnie to, co mi napisałaś, a co pozwolę sobie przytoczyć:

„...I tu muszę przyznać, że wiele hartu czerpię z „Krainy". Odpowiedzi do różnych członków — oddziaływują również na mnie, zachęcają do pogodnego patrzenia na świat, budzą energię i moc do przeciwstawiania się trudnościom. To Twoja, Pani Zosieńko, zasługa! A teraz już naprawdę odrzucam na bok wszelkie troski i zmartwienia, nastrojona na weselszą nutę, dzięki (częściowo) przepięknym melodiom operetkowym, płynącym z radia, uśmiecham się z wdzięcznością do ukochanej „Mateczki", przesyłając moc wiosennych pozdrowień".

Pragnę, aby te melodie (te i nowe) zawsze działały na Ciebie tak rozweselająco. Nie mniej przyznaję, co myślę, mianowicie, że nie melodie działają tak niezawodnie na stan Twego samopoczucia a silna wola niepoddawania się przykrym stronom życia. I za to Cię lubię!

Przyjmij moje serdeczności i pisz!

Komunikaty: „Blanko"! Tak się cieszę, że miałam sposobność odwiedzić Cię i pogawędzić. Całuję i pozdrawiam serdecznie.

„Marzyciel Mulforda" — dziękuję za szczery list i życzenia świąteczne. Zastosowałam się do życzenia... Powiniem Pan być zadowolony. Czy plany życiowe prybierają już realne kształty? Przesyłam uścisk dłoni.

„Belfer". Pokrewna „zawodowo" dusza pozdrawia serdecznie i wysuwa projekt nawiązania kontaktu. Może da on nam zadowolenie i pewnego rodzaju urozmaicenie w naszej szarej codziennej pracy. Będę czekała na list...

„Dżentelmen śląski" — Czy zechciałby Pan napisać do „Złotej Jutrzenki"? Mam wiele sentymentu dla Śląska i jego mieszkańców.

„Samotny S." Twój apel nie przebrzmiał bez echa. Może jednak w chwili wolnej od zajęć, zdobędzie się Pan pierwszy na list? Odpowiem na pewno. Uśmiecham się, choć na odległość i pozdrawiam.

Poza tym pozdrawiam szczerze całą „Krainę", a w szczególności: „Smutną Kazieńkę", „Starszą Pannę", „Siboney", „Dziewczę z Puszczy", „Jadwigę Limbę", „Dziewczę z zaklętego młyna", „Serce śląskie", „Wenus", „Złoty promyczek słońca" i „Wirryta".

TECZKA wuja Janusza

NICZYM LEW

„Zadzior". Karykatura Twoja powędrowała do zbioru fotografij „Krainy". A niechże Cię, jakżeś mnie tam „ubrał"!...

Wspaniałomyślnie przebaczam Ci to i nie rzucę się w dzikiej zemście na Twoje przysłe wiersze, niczym lew na drżące jagnię — nie! Daruję Cię zdrowiem i... Twoje wiersze także!

Pozdrawiam Cię mocnym uściskiem dłoni, Miły Chłopcze!

WIERSZ ZBYT PESYMISTYCZNY

„Kazimierz Junoszyc". Mój Miły Przyjacielu! Nadesłanego wiersza nie zamieszczam dlatego, że może posiada słabą formę, ale po prostu dlatego... że jest wprost demoralizujący w swym pesymiźmie. No, wyobrażam sobie, jakby on podziałał na wszystkie smutne dusze szukające w „Krainie", ciepła, słońca i radości! Panie Kazimierzu! Gorąco proszę o coś weselszego, pogodniejszego, tym więcej, że stać Pana na to. Oświadcza mi Pan przecież wyraźnie, że czuje się dobrze i nie ma powodu do narzekań. Zatem?...

PODZIĘKOWANIE

Leci szary ptaszek,
Przez pola i lasy,
Przez łąki zielone,
Pełne cudnej krasy.

Zatrzymał się w Żninie,
I myśli maleńki —
Jakby się tu dostać
Do Pani Zosieńki!

Skoczył na okienko,
W szybki dzióbkiem stuka...
Czy Pani Zosieńka
Ptaszynę wysłucha?...

„Gałązeczka Świerku"
Mnie tutaj przysyła —
Tak mówiła do mnie:
„Ptaszyno ma miła.

Poleć ty do Żnina,
Do redakcji poleć,
I pani Zosieńce
Króciuteńko powiedz,

Że „Gałązka Świerku"
Ślicznie Jej dziękuje —
Za przyjęcie do „Krainki"
I mocno całuje.

No i także całą
Przemiłą „Krainkę"
Pozdrawia serdecznie
Przez szarą ptaszynkę.

„Gałązka Świerku".

WIERSZE JUŻ NIEAKTUALNE

„Szczęśliwa żona". Ze szkiców nowelowych, niestety, skorzystać nie mogę. Tego rodzaju utworów nie zamieszczamy. Wiersze, obecnie już nieaktualne, oprócz: „Mój ogródek"., który to wiersz niżej zamieszczam i pozdrawiam Panią.

JESZCZE SŁABE I NIEPORADNE!

„Awiata". Niestety, nie jestem żadnym jasnowidzem, a tylko skromnym krytykiem wierszy — próbki pisma musi Pan zatem przesłać grafologowi.

Nadesłanych prac — nie zamieszczam. Są one jeszcze bardzo słabe i nieporadne, może następne będą lepsze? Czekam na nie!

WARTO!

„Mimoza — Lwów". Do druku pójdą: „Śni mi się", „Nocą" i „Smutno mi"... Proszę korzystać dużo z natchnienia, bo warto! Życzę, aby nowa wiosna stała się dla Pani Muzą i zachętą do pracy.

ŚNI MI SIĘ...

Śni mi się wiosna moja
w słońca promieniach,
Lub w pośród konwalii bieli,
w lesistych cieniach.
Wszystko mię wabi dokoła
i szczęściem ludzi...
Nadzieję moją straconą
do życia budzi...
Więc znów w krainę marzeń
dusza ma wzlata,
W czarowne baśnie wsłuchana
rwie się do świata...

„Mimoza".

CZY W WIERSZACH KRYJE SIĘ TALENT?

„Tęsknota z gór". Wierszowane utwory dostały się do mojej „Teczki", do „Krainki" — przyjęła Panią, Pani Zofia.

Pyta Pani, czy w Jej utworach kryje się jakaś iskra talentu? Otóż tak! Myśli Pani pięknie i nastrojowo, brak tylko tym myślom należytej formy. Oto musi się Pani postarać, a wszystko inne ułoży się jak najpomyślniej.

MÓJ OGRÓDEK...

Mężowi mojemu poświęcam.

Na tej grzędzie, obok okien,
kwiateczki posieję —
w malwy barwne i wysokie
ścieżyny odzieję...
— — — — — —
Latem będę swój ogródek
zmierzchem podlewała —
i w oczęta niezabudek
z lubością patrzała...
— — — — —
Wyhoduję pienne róże
dla twojej miłości —
i ogród mój nieduży
oddam ci w całości...

M. de Sch. Hayderowa.

BRAK TECHNIKI

„Jerychonka". Zgodnie z domysłami, wiersze powędrowały do kosza, ale... warto nad sobą pracować. Iskrę talentu wyczuwa się dość wyraźnie, brak tylko wyrobienia i opanowania techniki dobrego wierszowania. Pozdrawiam Panią, „Jerychonko".

CZYTAĆ DOBRĄ POEZJĘ!

P. Z. Z. K. Myśli szlachetne, ale forma słaba. Przede wszystkim zawiodła rytmika i to do tego stopnia, że niektóre strofy wierszy Pana, czynią wrażenie rymowanej prozy. Powinien Pan czytać dużo dobrej poezji — oto, co mogę Panu zalecić!

WIERSZYK — ZAMIESZCZAM

„Gałązka Świerku". Wierszyk Pani nie posiada wprawdzie wartości artystycznych, ale zamieszczam go, bo przecież chodzi tylko o to, aby z jego treścią zapoznała się Pani Zofia i Jej miła „Rodzinka".

Z NADZIEJĄ...

„Altruista". Wiersze Pana wróżą bardzo dobre nadzieje na przyszłość, ale na razie brak im jeszcze dużo, np. poprawnego rytmu i rymu, oraz ciekawszego zabarwienia poszczególnych zdań. Regiony myśli, w których Pan tonie, są tak banalne i spowszedniałe, że tylko pewnym jednostkom mogą dać zadowolenie i to jedynie przez skojarzenie odczuwań i przeżyć. Poezja zaś, Drogi Panie, musi być zawsze świeża i dawać pewną sumę nowych, absorbujących duszę wrażeń. Z nadzieją, że zrozumie mnie Pan i nada swej twórczości zasadniczy kierunek, ślę Panu bardzo serdeczne pozdrowienia.

OTWIERAM OKNO

Na ścieżaj otwieram okno —
I cała w słuch się zamieniam.
Wietrzyk gałązką wilgotną
Szmer na melodię przemienia.

W tym rozśpiewała się ziemia —
Melodią twórczą majową.
Echo na pieśń ją odmienia,
Szumiąc jak w muszli perłowej.

I głos ptaszęcy, radosny
Pełen miłosnych rozgwarzeń —
Wpadł światłem w odgłosy wiosny
Nakłonił duszę do marzeń.

Słowik rozkwilił się pieśnią —
Rozmodlon w swoim kochaniu
Głosikiem lubą upieścił —
Zawarł swe serce w kląskaniu.

Pełen mój pokój śpiewania —
Pełen melodii ptaszęcej.
Echo po ścianie się słania,
Noc się majowa pajęczy.

Na ścieżaj otwórzcie okno,
By nocka śpiewna majowa —
Rosą przeczystą wilgotną
I pieśnią łkała nad głową.

Niech te hejnały słowicze
Po sercach waszych się niosą —
Rozpalą zagasłe znicze
I śpiewną miłość weń wniosą!

K. Kirschowa.

— Niechże Wyczółkowski zawoła Asana i weźmie go na smycz — gniewnie rzucił w pewnej chwili Jerzy. — Pędzi nam zwierzynę tylko niepotrzebnie!

— Niby to ten figlarz teraz przyjdzie do nogi! Nie znam to go! Jak się raz wyrwie w las po jakichś śladach, to sam czort go nie zatrzyma. Lanie potem weźmie, ale to też nic nie pomoże.

— Więc nie trzeba go było od razu puszczać!

Męczące i uciążliwe tropienie trwało już godzinę, ale ani Jerzy ani Wyczółkowski nie mieli zamiaru rezygnować zawzięli się obydwaj i tak jak na Asana nie było by i na nich sposobu, aby zawrócić ich z tej pogoni. Kręcąc po lesie za zwierzem we wszystkie strony nie spostrzegli się w jakiej znaleźli się jego stronie.

W pewnej chwili wypadli na drogę.

Wielka, potężna locha, sapiąc potężnie, gnała teraz ostrym galopem wzdłuż drogi. Za nią Asan.

Jerzy zorientował się, że są na „jego" drodze i że locha gna w stronę — starego dębu. Zbyt był jednak rozwścieczony długim pościgiem, aby okoliczność ta mogła go powstrzymać od dalszej pogoni. Przeciwnie. Obudziła się w nim tym straszniejsza, ślepa żądza zemsty. Tu właśnie tu, gdzie taka sama locha odebrała mu szczęście jego życia, chciał dopaść tę uciekającą i wyładować na niej całą swoją rozszalałą wściekłość.

Poszczuł Asana i rzucił się biegiem po równej wydeptanej ścieżynie. Rozwiane włosy i broda, obłędny wściekłością wzrok i utykanie na jedną nogę czyniły z niego straszne zjawisko.

Wyszółkowski gonił za nim, powtarzając w duchu: „O Boże, Boże, to się źle skończy... będzie jakieś nieszczęście..."

Mając pełną głowę przesądów, wierzył, że jeśli zwierz zbyt długo i daleko w las ciągnie za sobą myśliwego, to jest w nim nieczysta siła — diabeł, który wiedzie nieszczęśliwca takiego na pewną zgubę.

Nie nawoływał jednak Jerzego. Wiedział że będzie to bez najmniejszego skutku.

„Czort z czortem za łby się teraz weźmą" — skonstatował z rozpaczą — i gnał dalej.

Tymczasem Asan dogonił lochę, szarpnął ją zębami za zad. Zatrzymała się, błyskawicznie odwróciła do psa i runęła na niego z nastawionymi nisko nad ziemią kłami. Asan jednak, zwinny i szybki, w porę zdołał uskoczyć. Locha zatrzymała się i stała chwilę z pochylonym łbem, nieruchomo. Asan widząc bezbronność nieprzyjaciela dopadł znowu. Tym razem jednak biedne psisko pochwycone kłami rozwścieczonej maciory furknęło w bok jak piórko i spadło opodal jak bezwładny flak.

Locha ruszyła teraz do swej ofiary, charcząc straszliwie. Ale Jerzy był już na odległość strzału. Stanął jak wryty, zmierzył się i wypalił. Musiała mu jednak zadrżeć ręka po długim forsownym biegu, lub może na skutek szału, który nim miotał wewnętrznie — dość, że — chybił, raniąc zwierzę. Locha zatrzymała się i zakołysała na rozstawionych nogach. Nie upadła jednak. Nagle ruszyła znów naprzód w stronę swej ofiary, kłapiąc zębami, chrapiąc i sapiąc głośno.

Jerzy nie strzelił drugi raz. Ogarnęła go straszna żądza krwi. Pragnienie zemsty i zniszczenia dokonanego bezpośrednio własnymi rękami rozszalało się w nim jak rozpętana burza. Nieprzytomnie cisnął o ziemię strzelbą, a chwytając krótki nóż zza pasa rzucił się ku maciorze.

— Matko Najświętsza ratuj!! — krzyknął Wyczółkowski w największym przerażeniu.



Ogólny widok miasta Skutari w Albanii.

Sytuacja tak się przedstawiała, że gajowy nie mógł strzelać, bez obawy trafienia Jerzego. Gonił więc za nim wypatrując odpowiedniego do strzału momentu. Wszystko to trwało krótkie chwile.

Jerzy tymczasem rozjuszony, nieprzytomny, blady z wściekłości, doprowadzony do ostatecznej rozpaczy widokiem pomimo zwieszającego się nad drogą podciętego przez piorun dużego konara starego dębu — dopadł dzika i bez opamiętania, bez namysłu straszliwym uderzeniem wbił mu pod łopatkę nóż aż po rękojeść. Zwierzę charknęło aż puszcza zadrżała, bluznęło z pyska krwią i oszalałe bólem rzuciło się najpierw w tył, wyrywając z ręki Jerzego, nóż, który został w cielsku, a potem rzuciło się do ataku na nieprzyjaciela. Ale Jerzy w tej chwili był prawdziwym pierwotnym człowiekiem, który do własnej obrony rozporządzał jedynie rękami, siłą mięśni i szaloną odwagą. Nie uskoczył przed zwierzem. Przeciwnie: przesadził przez nie. Dzik na chwilę zgłupiał, tracąc sprzed oczu wroga i zarył się przednimi nogami w ziemię. Jerzy zaś w mgnieniu oka odwrócił się, wskoczył mu na grzbiet, wyciągnął nóż tkwiący wciąż pod łopatką i bez miłosierdzia, w dzikiej rozszalałej pasji raz po raz zadawał okropne ciosy. Wszystko to działo się błyskawicznie. Maciora runęła na bok, przygniatając sobą Jerzego, wierzgała, rzucała się w strasznym bólu. Krew bluzgała na wszystkie strony, a Jerzy bez przerwy kłuł i kłuł nożem jak opętany szaleniec. Oczy wyszły mu z orbit, usta zacięte zsiniały, twarz blada była jak u pioruna.

Kiedy Wyczółkowski dopadł do powalonych zapaśników, locha już rzucała przedśmiertne drgawki. Połową swego cielska leżała na Jerzym. Ale on nie zdawał sobie sprawy, że już jest zwycięzcą. Zlany cały posoką, z rękami ubabranymi w niej po łokcie, wciąż nieprzytomny rozszalały wściekłością furiat, bez przerwy bił bił nożem w rozpłatane na strzępy cielsko dzika. Za każdym razem gdy z pasją nóż wyszarpywał przed nowym ciosem w górę bryzgał dokoła krwią.

Było coś tak strasznego potwornego i nieludzkiego w tym obrazie, że Wyczółkowski blady i drżący patrzał przez chwilę, nie będąc w stanie zdobyć się na jakikolwiek czyn.

Wreszcie z piersi jego wywarło się okropnym głosem wołanie:

— Człowieku! W imię Boga — przestań! To zbrodnia!!! Aaa...

Rzucił się na Jerzego, wyrwał mu z ręki nóż i cisnął daleko w las.

Wtedy dopiero Jerzy opamiętał się. Znieruchomiał, zdrętwiał, wlepiwszy nieprzytomne oczy w starego gajowego.

Długi czas mierzyli się wzrokiem.

— Człowiek tak nie robi — rzekł twardo Wyczółkowski — To niegodne, to podłe.

Jerzy spuścił oczy. Oddychał ciężko.

Wyczółkowski nogą odwalił poharatane cielsko dzika z Jerzego.

— Wstawaj pan — rzekł surowo do niego.

Jerzy wstał z trudem i zachwiał się na nogach jak pijany. Wyczółkowski go nie podtrzymał.

Asan skamląc i powłócząc tylną nogą przyczłapał się do swego pana, przysiadł u jego stóp i żałosnym wzrokiem spoglądał na obydwóch ludzi i na powalone nieszczęsne zwierzę.

— Trzeba pochować tę ofiarę zbrodni, żeby kruki nie szarpały i nie żywiły się jej mięsem — rzekł ponuro Wyczółkowski.

Ujął siekierkę, którą zawsze nosił przywieszoną z tyłu do pasa, i zaczął nią pod dębem wykopywać dół. Trwało to dosyć długo. Jerzy cały ten czas stał bez ruchu i patrzał na gajowego zgaszonym, mętnym wzrokiem.

Gdy dół był gotowy, gajowy rzekł:

— Bierzmy ją.

Wziął maciorę za tylne łapy, Jerzy za przednie i przeciągnęli do dołu, do którego było zresztą zaledwie ze trzy kroki. Zasypali ziemią i mocno ugnietli ją nogami. Jerzy zlany cały krwią wyglądał tak strasznie, że Wyczółkowskiego co chwila przelatywał dreszcze zgrozy. Asan skomlił bez przerwy.

W pewnej chwili młody człowiek podniósł oczy na dąb. Na jasnej ranie od pioruna widniały teraz czerwone plamy krwi. Jerzy chwiejnym krokiem podszedł do pnia sędziwego drzewa, oparł na obdartym z kory miejscu głowę i raptem ciałem jego wstrząsnęło głębokie, silne łkanie.

Był to jego pierwszy płacz w ciągu całego dotychczasowego życia.

Późnym wieczorem wrócili do domu. Nie mówili do siebie nic. Rozeszli się na spoczynek bez jednego słowa, bez zwykłego uścisku dłoni. (c. d. n.)

MARIA HEMPEL-GIERDAWA

4)

Wariatka

Opieka wypełniając swoje obowiązki w stosunku do mnie, sumiennie przestrzegała i tego punktu. W szkole wolno mi było uczęszczać na lekcje religii, ale rozmów bezpośrednich na temat wyznaniowy nikt ze mną nie prowadził. Koleżanki, jak to łatwo zrozumieć w takiej sytuacji, spoglądały na mnie z zaciekawieniem i w ogóle odnosiły się do mnie inaczej niż do wszystkich pozostałych. Byłam pewnego rodzaju sensacją, zwłaszcza że uczęszczałam do gimnazjum, w którym nie przyjmowano uczenic innego wyznania niż katolickie. Jeżeli mnie przyjęto, to pewno w nadziei, że zostanę „nawrócona". Pewnego rodzaju tajemniczość, która mnie otaczała dzięki mojej „bezwyznaniowości" zrobiła to, że kwestia religii stała się dla mnie w ogóle kwestią drażliwą, o której nie lubiłam mówić i nie mówiłam nigdy z nikim. Z tego samego powodu obudziło się we mnie silne zainteresowanie samą kwestią wyznania. Jeszcze byłam w szkole, w siódmej klasie, kiedy zaczęłam czytać najrozmaitsze książki z tego zakresu. Gdy zbliżałam się do pełnoletności powiedziano mi o woli mojej matki. Wtedy sprawę zaczęłam traktować z dużą dozą powagi, która jednak jeszcze jeszcze miała wyraźny dziecinny charakter. Po prostu niesłychanie mi to imponowało, że sama muszę w tak ważnej sprawie mnie dotyczącej decydować. Powiedziałam sobie, że zanim się na coś zdecyduję, muszę zapoznać się dokładnie przynajmniej z najważniejszymi wyznaniami. Początkowo wypożyczałam najrozmaitsze dzieła, potem zaczęłam niektóre kupować. W ten sposób zebrała się cała ta biblioteka, która zresztą już niejedną osobę intrygowała.

Urwała. Roman słuchał bardzo uważnie i poważnie. Teraz zapytał:

— Czy wolno wiedzieć do jakiego rezultatu doprowadziły panią te studia?

— Do głębokiej wiary w Boga.

— A jakie wyznanie pani wybrała?

— Jeszcze żadnego nie załatwiłam na papierze.

— Ale w sercu?

— Widział pan, że nie rozstaję się z Ewangelią. Wszystkie tamte księgi są w bibliotece, ta jedna jest zawsze blisko mnie. Ewangelia jest najpiękniejszą nauką, jaką można sobie wyobrazić. W niej jest odpowiedź na wszystko i rozwiązanie wszystkiego. Gdyby według niej ludzie żyli — świat byłby rajem.

— Więc katolicyzm oczywiście?

Iga uśmiechnęła się i nic nie odpowiedziała.

— Czy można panu jeszcze nalać kawy? — zapytała po chwili.

Zrozumiał, że nie należy powtarzać pytania.

Zapytał o coś innego:

— Czy w dalszym ciągu oddaje się pani tym studiom?

— Mniej czytam bezpośrednio z tej dziedziny, więcej takich rzeczy, które rzucają światło na życie różnych narodów, wyznających najrozmaitsze wierzenia. Obserwuję ludzi pod kątem widzenia religii. Chcę poznać fizjognomię różnych wyznawców. To znaczy, chodzi mi o to, jakich ludzi wychowuje dana religia.

— Jakaż więc religia, według pani, wychowuje najlepszych ludzi?

— Powiedziałam już panu, że najpiękniejszą i najmądrzejszą nauką jest Ewangelia i gdyby według niej ludzie żyli — świat byłby rajem.

— Tak. Ale nie odpowiada pani ściśle na pytanie: Jaka religia?

Iga znowu uśmiechnęła się kącikami ust i po małej chwili powiedziała:

— Wiem tylko to, że wszystkim na całym świecie bez wyjątku przydałoby się głębokie zrozumienie słów: „To jest przykazanie moje, abyście się wzajemnie miłowali". Czy można panu obrać pomarańczę? A może jabłko?

— Wolę jabłko.

— Czy z powodu przenośni? -- uśmiechnęła się trochę prowokująco.



Na zdjęciu b. Kronprinc z żoną oraz jego młodszy brat ks. Ludwik (z prawej) z swoją żoną ks. Kyrą, która trzyma na ręku nowonarodzonego syna.

Roman zrozumiał, że Iga chce zmienić temat rozmowy. Powiedział więc:

— Co za przeskoki w tematach!

— Cóż to szkodzi? Jestem zresztą pewna, że idąc do mnie był pan raczej przygotowany na lekką towarzyską rozmowę, niż na tak poważne zagadnienia. Proszę powiedzieć szczerze.

— Specjalnie nie myślałem o tym, jaki ton będzie miała nasza rozmowa. Przyznaję jednak, że nie byłem nastawiony filozoficznie. Zresztą, proszę pani, kiedy się idzie z wizytą do miłej kobiety, myśli się przede wszystkim o tym, że ona jest miła!

Wziął rękę Jadwigi i pocałował raz i drugi, potem zatrzymał, zamkniętą w swych dłoniach.

— A czy pani myślała o tym, że będziemy tak poważnie rozmawiać?

— Nie. Wcale! W ogóle nie myślałam o czym będziemy rozmawiać. Cieszyłam się, że pan przyjdzie. Ale proszę puścić moją rękę, bo jakże obiorę panu jabłko?

— Mniejsza o jabłko...

Patrzyli sobie w oczy, uśmiechnięci oboje.

— Pan ma bardzo uwodzicielskie spojrzenie...

— Nie raz mi to mówiono.

— Tak je określiłam wtedy, w wagonie.

— I dlatego, kiedyśmy sobie przez chwilę patrzyli w oczy, wyszła pani na korytarz?

— Tak, bo mnie to zmieszało.

— A teraz?

— Teraz... — roześmiała się. — Teraz nie mogę wyjść, bo byłoby to bardzo nieuprzejmie z mojej strony w stosunku do gościa!

— Tylko przez uprzejmość?... — uśmiechnął się, wciąż patrząc jej w oczy.

— Nie tylko...

— A dlaczego jeszcze?

— Bo mi jest tak miło...

— Bardzo?

— Bardzo...

Roman nachylił się i przytulił usta do jej ust. Nie broniła się. Oddała mu długi pocałunek.



Orkiestra Filharmonii Warszawskiej przygotowuje się do międzynarodowego festiwalu muzycznego.

Potem wstała nagle. Przeciągnęła ręką po czole. W skroniach bił mocno puls. Stanęła z drugiej strony, wypiła resztę kawy z filiżanki. Spojrzała na Romana. On patrzał na nią spojrzeniem, które samo było jak pocałunek.

— A teraz już pan sobie pójdzie... — powiedziała miękko, przyciszonym głosem. Wstał, trochę zaskoczony tą decyzją.

— Ale będzie mi wolno wrócić? — zapytał trochę niepewnie.

— Naturalnie.

— W takim razie do widzenia.

Podała mu rękę, lekko cofając się w tył. Roman miał wielką ochotę raz jeszcze ją ucałować, ale ten jej wymowny manewr, zdezorientował go trochę, więc tylko pocałował kilkakrotnie podaną mu rękę i wyszedł.

ROZDZIAŁ V.

Minęło szereg tygodni. Romana nie było chwilowo w Warszawie. Iga, korzystając z niedzieli, pojechała do Łodzi, do swej przyjaciółki jeszcze ze szkolnych czasów, Irki.

Siedziała z podkurczonymi nogami na tapczanie, wtulona wygodnie w poduszki. Obok niej Irka, zajęta kunsztownym haftem. Spod jej palców, o delikatnych długich różowych paznogciach, wyrastały złotem, srebrem i żywymi kolorami szyte kwiaty o nowoczesnym kanciastym rysunku.

Iga, przyglądając się tej robocie, rzekła:

— Gdyby tak człowiek mógł na osnowie swego życia haftować tak piękne wzory o jakich marzy...

— Nie możesz chyba narzekać. Zdaje mi się, że od kilku tygodni w życiu twoim właśnie rozkwitły piękne kwiaty nowego uczucia... Nie jest ci z nim dobrze?

— Dobrze... Ale to nie to, co było — kiedyś.

— Nie można zbyt wiele wymagać od losu. Zapewne, Roman nie jest Stefanem...

— Tak są różni, że nie można ich nawet porównywać.

— Ale kochasz Romana?

— Tak. Oczywiście. W przeciwnym razie nie mogłoby być mowy o takim stosunku między nami, jaki jest. Pokochałam go od pierwszej chwili, tak jak Stefana.

— A on ciebie?

— Nie... Lubi mnie ogromnie, ale myślę, że z jego strony przede wszystkim zmysły odgrywają główną rolę. Nigdy nie mówimy ze sobą na temat naszego wzajemnego stosunku. Nie określamy go, nie nazywamy. Roman jest specjalnie w tej dziedzinie powściągliwy w słowach. Może dlatego, że jest dyplomatą! Nie wypowiada się.

— Należy zapewne do rzędu tych przewidujących mężczyzn, którzy nie lubią się zobowiązywać. A słowa zobowiązują.

— Nie. Nie przypuszczam, aby było u niego coś tak specjalnie wyrozumowanego... Wie, że ja wiem o tym, iż on nie jest wolny. Wie, że ja znam sytuację — bo wszyscy ją znają. Więc wie, że nie mogę oczekiwać żadnych zobowiązań. I wie, że nie oczekuję. Roman jest niesłychanie wrażliwy na płeć piękną. Sam zresztą mówił (może w celach asekuracji na przyszłość!), że nie umie być wiernym. Nawet wtedy, kiedy bardzo kochał — nie był wiernym. Jedynie tylko za swoją przyjaźń może gwarantować zawsze.

— Jak jest właściwie z tym jego narzeczeństwem?

— Według mnie jest to nie tyle narzeczeństwo, ile niezalegalizowane małżeństwo, które już w stosunkach wzajemnych zobojętniało. Uchodzą za narzeczonych już chyba od dwunastu lat, i jako tacy bywają wszędzie razem. Ich rzeczywiste stosunki są tajemnicą poliszynela. Świat się przyzwyczaił do tej sytuacji, sprawa od dawna przestała być „sensacją" salonów — i tak to wszystko trwa.

— A tobie to nie przeszkadza?

— Przeszkadza. Ale cóż mam robić?... Roman daje mi, pomimo wszystkiego, tak dużo radości życia... O żadnej wyłączności u tego człowieka nie może być mowy. Sam przecie mówi — że nawet gdy kocha, nie jest wierny!... Zanim nasze stounki weszły już na zdecydowanie określone tory — zadawałam sobie pytania, „pomijając osobiste względy, czy mam do tego prawo? Czy nie krzywdzę nikogo? Bo to jest przecież najważniejsze kryterium, które powinno decydować o wszystkich naszych poczynaniach.

— I doszłaś do wniosku?

— Doszłam do wniosku, że nie. Nigdy w jawny czy podstępny sposób nie odwodziłabym Romana od małżeństwa, które według mnie jest wyłącznie kwestią już tylko obowiązku, obowiązku, do którego Roman — słusznie czy niesłusznie — ale się poczuwa. Gdybym wiedziała, że z mego powodu chce zmienić ten zamiar — usunęłabym się natychmiast. I konsekwentnie: gdybym mogła — dopomogłabym w urzeczywistnieniu jego planów. Jej jeśli zależy na nim matrymonialnie, to jedynie tylko przez ambicję, nie przez uczucie! Zresztą jak słyszałam, ona też nie poczuwa się moralnie do wyłączności w stosunku do niego. Ja zaś kocham go dla niego samego, nie dla mnie. Prawdziwe uczucie nie może być egoistyczne. Chcę mu w życiu być czymś dobrym, chcę mu dać jak najwięcej dobrego, bez względu na to, czy to mnie będzie moralnie kosztować, czy nie.

— I takie jak ty, jak ja, nazywane są na ogół „idiotkami życiowymi".

— Z punktu widzenia praktycznego — mają rację ci, co to mówią. Ale na to, aby tak sądzić, jak ci praktyczni, trzeba się urodzić z praktyczną naturą. My obydwie jej nie mamy.

— I dlatego zawsze jesteśmy przegrane.

— Pozornie. Bo w gruncie rzeczy jesteśmy zawsze górą, nawet gdy odchodzimy rzekomo „przegrane".

— Twierdzisz, że Roman daje ci dużo radości życia, a w tym wszystkim, co mówisz, tak dużo wyczuwam smutku.

— Tak, bo nasz stounek jest daleki od tego, czem pragnęłabym aby był. Jest jak gdyby jednostronny. Ja daję całą siebie, on tylko część. Ale mnie nie oblagowuje, nie oszukuje — to jest bardzo cenna zaleta. Il se laisse aimer — to najlepsze określenie tego co nas łączy. Godzę się na to z całą świadomością, a przez to samo godzę się na pewien kompromis z samą sobą. Zapewne, wiem, że wiele kobiet powiedziałoby mi piękne aforyzmy o ambicji, o godności itd., powiedziałyby, że lepiej wcale — niż z podziałem. Wiem. Ale właśnie dla mnie nie jest lepiej: — wcale. Roman naprawdę, chociaż daje mi tylko część siebie, chociaż zawsze muszę się liczyć z jego sytuacją, wypełnia mi życie. Jest niesłychanie miły, inteligentny, w rozmowie bardzo interesujący. Chciałabym móc mieć go więcej dla siebie, ale nawet te stosunkowo nieliczne godziny, które spędzamy razem — są dla mnie czymś bardzo wartościowym i ważnym w życiu. A największą radość daje mi to przeświadczenie, że te godziny ze mną spędzone, są dla niego bardzo, bardzo dobrymi chwilami w życiu. Jeżeli się kocha, to przecie takie właśnie przeświadczenie może dać najbardziej istotne poczucie szczęścia, pomimo nawet pewnego zabarwienia smutku. To zabarwienie smutku, to echo tkwiącego w każdym z nas egoizmu.

— Powiedz mi dlaczego, skoro jak się wyraziłaś, to „niezalegalizowane małżeństwo" już w stosunkach wzajemnych zobojętniało, dlaczego oboje dążą do zalegalizowania tego związku? Co każde z nich na tym wygra?



Śródmieście stolicy Albanii, Tirany.

to znaczy po oficjalnej części jej wystąpienia w konsystorzu, zapytała przewodniczącego, prywatnie, niezależnie od sprawy: „Ponieważ zasadniczo stoję na stanowisku nierozerwalności małżeństwa gdy są dzieci, pytam, czy rzeczywiście taki punkt, jak w tej sprawie jest wzięty pod uwagę, naprawdę decyduje o nieważności zawartego małżeństwa, nawet gdy jest dziecko?" Przewodniczący odpowiedział: „Cóż, proszę pani... jeżeli dwojgu ludziom jest ze sobą niedobrze, jeżeli się mają męczyć, to dlaczego im nie ułatwić rozejścia się i ułożenia sobie życia inaczej".

— Bardzo wygodny życiowy pogląd — zauważyła Irka — tylko nie w ustach księdza, stojącego na straży interesów Kościoła i zwalczającego z oburzeniem projekt ustawy małżeńskiej oraz śluby cywilne i wyklinającego Boga!

— A no, właśnie! Zmiana religii dla jakichkolwiek celów jest dla mnie po prostu wstrętna, niegodna uczciwego człowieka i obniżająca wartość moralną. Wyznanie, jakiekolwiek, powinno być czymś naprawdę świętem, czym nie wolno handlować. Ale taki hipokryzyjny stosunek do Boga jest bodaj jeszcze gorszy.

— Naturalnie. Śluby cywilne rozwiązałyby tę sprawę najprościej, ludzie nie potrzebowaliby wchodzić w kompromis z własnym sumieniem i rodzina byłaby bardziej de facto chroniona niż obecnie, skoro taki punkt może decydować o jej rozbiciu. A jak się Roman zapatruje na te sprawy?

— Kiedyś mówiłam z nim — teoretycznie — o tym punkcie anulacji małżeństwa. Widziałam, że nie chce wypowiadać się szczerze. Czułam jednak doskonale, że w głębi duszy nie uważa, że to jest w „zgodzie z sumieniem". Ale po prostu nie chcę wgłębiać się w te sprawy, il laisse aller les choses.. Zresztą inaczej sytuacja byłaby bez wyjścia... A ostatecznie pozostawiając wszystko do załatwienia kompetentnej władzy duchownej — samemu zostaje się na boku i nie bierze się żadnej odpowiedzialności! A co do ślubów cywilnych, jest on zdecydowanym ich przeciwnikiem, ponieważ zasadniczo wychodzi z założenia, że rodzina nie jest zagadnieniem społecznym, ale religijnym.

— A mówisz o nim, że jest bardzo inteligentny i mądry?

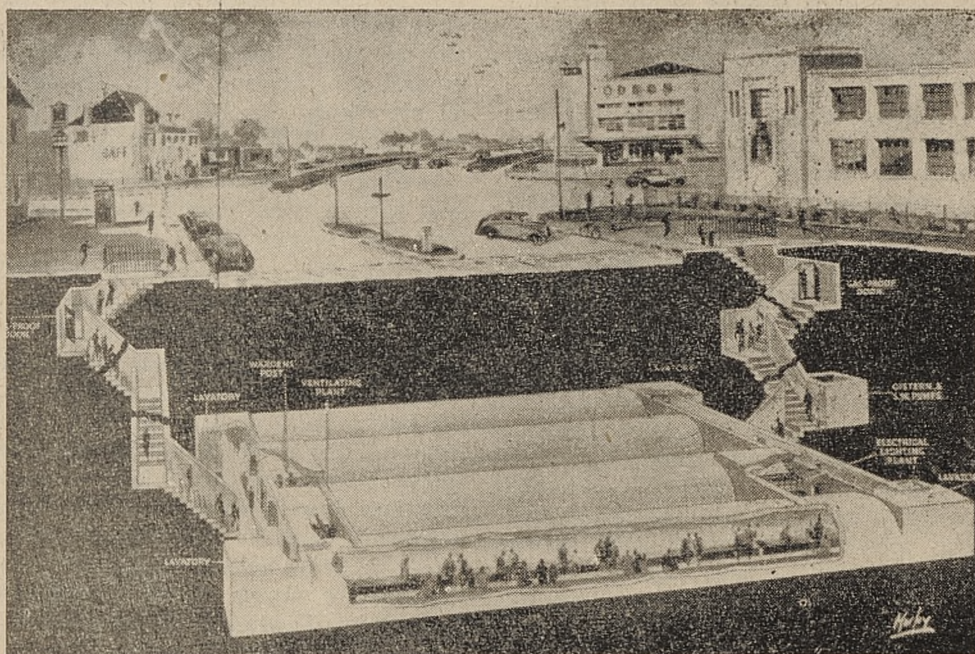
— Bo takim jest. Ale ludzie z tej sfery ujmują wszystkie sprawy związane z religią w sposób wybitnie formalistyczny. Stopień inteligencji nie odgrywa tu żadnej roli. Jest to po prostu częścią składową tak zwanego „dobrego wychowania".

— Tak, najłatwiej i najwygodniej jest trzymać się formalistyki i nie „mędrkując" umyć ręce od wszelkich niepokoi we własnym sumieniu. Powiedz: dawno widziałaś Romana?

— Przed tygodniem wyjechał do rodziców na wieś. Wraca dopiero za tydzień. Bardzo mi go brakuje... Tak pusto wydaje mi się w całej Warszawie, gdy jego nie ma. I tak zaraz wszystko traci na wartości: wolny czas od pracy, telefon, w którym jego głos się nie odezwie, nawet moje kwiaty w mieszkaniu i moja muzyka... On tak lubi, gdy mu gram...

— O, widzę z tego, że jesteś bardzo, bardzo zakochana...

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



Model publicznego schronu lotniczego dla ludności cywilnej w Anglii. Schron pomieścić może 300 osób.

— Tak jak ja znam sytuację, żadna ze stron nic nie wygra, może nawet przeciwnie. Jej zresztą na tej legalizacji zależy jedynie z powodów światowych — i ambicji. Ze strony Romana, poza ewentualnym przywiązaniem, które może być zupełnie zrozumiałe po tylu latach wspólnego pożycia, jest poczucie moralnego obowiązku, aby doprowadzić wreszcie do ślubu, ze względu na tak zwane „skompromitowanie" osoby z towarzystwa. Zdaje mi się, że ona niewiele sobie robi z tego „skompromitowania", ale właśnie dlatego, że swego czasu miała odwagę narazić się ludzkim językom i wszystko postawiła na kartę — on uważa za swój obowiązek ten związek zalegalizować. Przypuszczam, że ja bym w ten sposób sprawy nie rozstrzygała, ale zupełnie dobrze rozumiem, że on może mieć takie nastawienie, zwłaszcza jeżeli się zważy, że ci ludzie przywiązują niesłychaną wagę do pozorów i form. Ale oczywiście w ich sytuacji brak jest tego najistotniejszego elementu, który łączy ludzi. Bez względu na to, czy ja jestem w życiu Romana, czy mnie nie ma — ten brak istnieć będzie. Moja osoba nie odgrywa tu żadnej roli — chyba, że chciałabym go odwieść od małżeństwa. Ale o tym mowy nie ma. A gdy tak się przedstawia sprawa, powiedz w czym i dla kogo może być krzywdząca moja naprawdę bezinteresowna pod każdym względem miłość do Romana? W niczym.

— Oczywiście. A czy prędko może nastąpić ta legalizacja?

— Przypuszczam, że nie, bo cała sprawa utknęła i nie ma sposobu ruszyć jej z miejsca.

— A rzeczywiście są tam powody do unieważnienia poprzedniego małżeństwa tej pani?

— Z Romanem o tym nie mówię. Jest to temat zupełnie wyeliminowany z naszych rozmów. Jak gdyby tamta sytuacja nie istniała. Ale rozmawiałam niedawno z moją kuzynką, która zna dobrze narzeczoną Romana, a nie wie nic o mojej z nim zażyłości, nawet nie wie, że się znamy — i która występuje jako świadek w sprawie tego unieważnienia. Małżeństwo trwało sześć lat, była wówczas pięcioletnia córeczka. Rzeczywisty powód rozejścia się jest — uczciwie mówiąc — fakt, że małżonkowie mieli siebie dosyć z najrozmaitszych względów. Ale do takiej rzeczy nie można się przyznawać kiedy się jest gorliwą katoliczką. O zmianie religii oczywiście też nie mogło być mowy. Nie z tych względów, które my mialybyśmy na uwadze, ale — sięgając do rzeczywistej prawdy — dlatego, że to już byłoby właściwie w „złym tonie"... W dobrym towarzystwie może być mowa tylko o anulacji małżeństwa, bo przecie „rozwód" nie istnieje... Trzeba więc było wynaleźć punkt do unieważnienia małżeństwa, aby wszystko było — rzekomo — w zgodzie z sumieniem. Rada w radę, znaleziono punkt następujący: jeżeli jedna ze stron nie uważała ślubu za sakrament, ale traktowało go jako konieczną dla świata formalność — wtedy przysięga małżeńska jest nieważna i — eo ipso — małżeństwo jest nieważne!

— Dajże spokój!! Co ty opowiadasz?! Kochali się, chcieli się pobrać, żyli ze sobą, mieli dziecko — i to wszystko z takiego powodu jest nieważne?

— Prawo kanoniczne punkt taki przewiduje.

— Niesłychane! I co dalej?

— Mąż — pułkownik — sprawa toczy się w konsystorzu wojskowym — oświadczył, że tak właśnie ustosunkował się do ceremonii ślubu — i wzięto to za podstawę do unieważnienia.

— A żona, uchodząca za gorliwą katoliczkę, uważa, że to jest w porządku?

— Oczywiście, skoro sam dziekan z konsystorza tak twierdzi...

— I to się nazywa „w zgodzie z sumieniem".

— Tak, z chwilą kiedy jest formalnie na papierze z pieczęciami i ze wszystkimi pozorami legalności — jest w „zgodzie z sumieniem". Ale powiem ci rzecz jeszcze piękniejszą w tej sprawie. Doskonała była rozmowa, krótka, ale bogata w treść, kuzynki mojej z przewodniczącym sądu, kiedy składała zeznania, zresztą prawdziwe co do liberalnego stosunku owego pułkownika do spraw religii. Po złożeniu zeznań-

RAJ KOBIET



K W 43 331. Komplecik bielizny: koszulka i majteczki z płótna w kolorze pastelowym; koronka kremowa.
K W. 71 61. Koszulka dla chłopca, ładnie ozdobiona stebnowaniem.
K W 44 334. Nocna koszulka dla chłopca, przybrana płótnem w kratę biało-niebieską.
K W 43 349. Z różowego lub niebieskiego płótna uszyć można ten komplecik dla dziewczynki
Z 346. Nocna koszula dla chłopca, ozdobiona tasiemką.
Wszystkie kroje nabyć można w naszej adm. w cenie: kompleciki — 80 groszy, koszulki — 1 zł.



K W 44 350. Haleczka dla dziewczynki, uszyta z białego płótna, lamowana płótnem różowym.
K W 42 364. Dla maleństwa — haleczka z białego batystu, obszyta koroneczką.
K W 3661. Z niebieskiego płótna koszulka nocna, przybrana haftem w kolorze różowym.
K W 44 348. Deseniowe płótno nadaje się na tę miłą koszulkę dla dziewczynki.
W 44 327. Jednoczęściowa pijamka z flaneli w kropeczki, praktyczna i miła.
W 43 659. Dwuczęściowa pijamka dla chłopca, uszyta z płótna lub flaneli w kratę.
Kroje nabyć można w naszej adm. w cenie za nr. K W 42 364 i K W 3661 — 50 groszy, pozostałe 1 złoty.



Jak przechowywać futra przez lato

Nadchodzi okres ciepłych, letnich dni, kiedy przez kilka miesięcy nie będziemy potrzebować naszych futer. Należy wobec tego należycie zabezpieczyć je przed molami, aby na jesieni znaleźć je nienaruszone i w dobrym stanie.

Wszystkim paniom chciałabym dziś przypomnieć, w jaki sposób należy chować na lato wszystkie zimowe okrycia.

Przede wszystkim musimy je bardzo dokładnie oczyścić z brudu i kurzu. Jeżeli chodzi o futra, to zależnie od gatunku czyścimy je ciepłymi trocinami, lub ciepłym, czystym piaskiem. Zaznaczyć należy, że karakułów nie czyścimy, tylko trzepiemy delikatnie, usuwając palcami kurz w miejscach, gdzie mogłyby się zagnieździć mole.

Bobry, foki, wydry i inne krótkowłose skóry oczyszczamy następująco: nagrzewamy czysty, biały, morski piasek, który można nabyć w drogerii, następnie posypujemy nim futra, rozłożone na czystym stole i po ostudzeniu nacieramy ręką; piasek zmieniamy kilkakrotnie, dopóki nie przestanie się brudzić.

Inne rodzaje futer oczyszczamy w podobny sposób, tylko nacierając mniej energicznie, aby nie zniszczyć włosów i używając zamiast piasku — czystych trocin.

Z początku trociny moczymy w occie, zmieniając je kilkakrotnie. Kiedy trociny wchłoną już w siebie cały brud, strzepujemy je z futra, które posypujemy jeszcze raz już suchymi, ciepłymi trocinami. Po 5-ciu do 10-ciu minutach usuwamy ostatecznie trociny.

Trzeba zaznaczyć, że futra białe, lub bardzo jasne po oczyszczeniu trocinami, czy piaskiem należy natrzeć magnezją, kredą lub mąką kartoflaną.

Po oczyszczeniu skórek z brudu przystępujemy do trzepania. Najlepiej umieścić futro na stole, przykrytym kołdrą, lub poduszką, kładąc je podszewką na dół i bić cienką laseczką bambusową. Na koniec czeszemy futra rzadkim grzebieniem metalowym.

Skoro oczyścimy, wytrzepiemy i wyczeszemy futra, należy je jak najprędzej pochować, aby mole nie zdążyły się w nich zagnieździć. Przeważnie panie składają je do specjalnie na ten cel przygotowanej skrzyni lub kufra. Nie powiem, żeby to było zupełnie słuszne, w ten sposób bowiem futra, umieszczone wspólnie, są narażone na większe niebezpieczeństwo. Mogą się przecież wśród nich znaleźć sztuki, niezupełnie dokładnie oczyszczone. Daleko lepiej

będzie umieścić każdą sztukę osobno w specjalnym, kartonowym pudełku.

Oczyszczone futro skrapiamy terpentyną, lub owijamy w gazetę, pokropioną tym płynem. Następnie zaszywamy je w czysty woreczek z materiału świeżo upranego i umieszczamy w pudełku kartonowym, wyłożonym gazetą i watą, nasiąkniętą terpentyną. Możemy jeszcze z wierzchu posypać i tabaką lub innym, mocno pachnącym środkiem przeciwmolowym.

Po zamknięciu pudełka zaklejamy wieko wąskimi paskami papieru.

Klej przyrządzamy następująco: rozpuszczamy 30 gr. ałunu sproszkowanego w litrze ciepłej wody; po wystygnięciu dosypujemy 60 gr. mąki i zagotowujemy, mieszając bez przerwy. Kiedy klej zgęstnieje dostatecznie, dodajemy 15 gr. pieprzu mielonego.

Dobrze jest umieścić na każdym pudełku napis, zawierający datę schowania i rodzaj futra. Przechowywać je należy w miejscu ciemnym, zimnym, ale nie wilgotnym.

Na zakończenie dodam, że największymi wrogami futer są: mole, słońce, gorąco i wilgoć.

Konieczność zreformowania odzieży roboczej

Nawet kapryśna moda jest konserwatystką w sprawach odzieży. Nasze ubrania codzienne mało zmieniły się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Uważamy je za możliwe, bo przywykliśmy do nich; są one jednak niewygodne nawet przy lekkich ruchach, przy pracy zaś przeszkadzają i same zniekształcają się — przemieniając się w krótkim czasie w zmiętoszony łach. Odzież robocza musi różnić się od domowej, musi być dostosowana do ruchów, materiał powinien być dobrany celowo i krój też celowo obmyślany. Zasada celowości pozostaje jednak teorią: w praktyce powtarza się tradycyjny krój prastarych części ubrania. Weźmy np. płaszcze mające chronić od deszczu; zapinane są z reguły na guziki od przodu. Błędu tego uniknęli tubylcy Ameryki Południowej: ich odwieczny strój podróżny „pala" to okrycie kroju ornatu, spływające szeroko po plecach i przodzie ciała i pozostawiające swobodę rękom, okrytym po łokcie.

Konieczność zmusza jednak do wynalazków: gazeciarze berlińscy dość mieli moknięcia podczas deszczu w marynarkowych garniturach: w płótnach namiotowych 55×180 cm powycinali otwory na głowę i płachtą taką okrywali się, poczynając od rąk na kierownicy roweru aż po bagażnik z gazetami. Pomysł ten spodobał się inżynierowi, głowiącemu się od dawna nad projektem okrycia dla ludzi pracujących w kamieniołomach, przy robotach ziemnych itp. Zaczął ulepszać płachtę gazeciarską i stworzył wzorzec nowoczesnej osłony do pracy na deszczu szeroki płat na plecach, sięgający na boki i ramiona po łokcie i przytroczony do ciała podszytym od spodu pasem, na głowie kaptur, od przodu płat tylko do pasa, bo całość przeznaczona jest do pracy w pozycji pochylonej. Osłona ta, nagrodzona rok temu na konkursie tygodnia ochrony pracy, jest obecnie wprowadzana w użycie na robotach publicznych w Niemczech.

Czy i u nas nie należy sięgnąć do wzorów innych niż „marynarka" i „jesionka"? Mamy gotowe źródła i wzory. Jakże doskonałe do ostrego klimatu Podhala dostosowane są, rzadko tkane, lecz na gęsto zbite w foluszu wełniaki góralskie; pierwszy zbadał to i stwierdził prof. dr. W. Gądzikiewicz, lecz nie skorzystali jeszcze z tych badań praktycy. Łapcie Poleszuków to celowo pomyślany sprzęt raczej niż obuwie do brodzenia po moczarach; wie o tym każdy, kto polował w tzw. woderach i zarzucał je, aby na poklute o sęki nogi nałożyć nieocenione łapcie.

Biała królowa arabów

W marcu br. minęło 100 lat od śmierci kobiety, która jak meteor zabłysła na romantycznym niebie Europy — Lady Hester Stenhope, zwanej „Białą Królową Arabii". Dziadkiem jej był Pitt starszy, a wujem sławny Pillian Pitt, człowiek, który pokonał Napoleona. Wysoka, o pięknej cerze i ciemnych oczach, królowała w towarzystwie angielskim, które bawiła ciętością swego języka i nonszalancją manier. Nagle opiekun, Pitt umiera. Młoda dama uprzykrzywszy sobie złośliwe języki, udaje się do Gibraltaru. Nie ujrzy już więcej brzegów ojczystej wyspy, — Wschód ją pochłonie. Z Gibraltaru, w gronie przyjaciół, poprzez Maltę, Ateny, Konstantynopol, przybywa do Egiptu. Do Kairu wjeżdża w stroju... dostojnego muzułmanina i tak sobie ten strój upodoba, że nigdy już nie włoży na siebie szat niewieścich. Rozpoczyna się okres triumfalnych podróży. Lady Stenhope zbliża się do świata muzułmańskiego. W jednej z podróży w r. 1813 w Palmirze, Arabowie zachwyceni jej urodą przyjmują ją do szczepu. Pasza Damaszku rozkochany w pięknej Angielce ofiaruje jej eskortę złożoną z 500 beduinów, która od dnia tego nie odstępuje swej pani. Legenda o białej lady władczyni beduinów rozchodzi się po całej Arabii. W r. 1814 pod słupami rzymskiej świątyni delegaci wszystkich szczepów arabskich koronują Lady Stenhope. Królowa Arabii wynajmuje na stokach Libanu opustoszały klasztor, który zamienia w cudowny, pełen przepychu wschodniego pałac. O wspaniałej siedzibie Lady Stenhope krąży po Europie pełno legend. Podróżni wracający z Europy opowiadają o cudach pałacu i nieograniczonej władzy jaką posiada lady Stenhope. I jeszcze dziś w górach Libanu Arabowie śpiewają pieśni o pięknej cudzoziemce.

APOLINARY ŻURAWSKI

Obowiązek...

NOWELA

Była noc. Wściekła wichura hulała po ulicach stolicy, zrywając ubezczelnie nakrycia głowy spóźnionym przechodniom i przejmując ich zimnem do szpiku kości.

Posterunkowy, Antoni Biela — znany w służbie jako nr. 119 — wychodząc jak zwykle na obchód swego rewiru, już w progu komisariatu stwierdził z niezadowoleniem, że służba tego wieczoru będzie wyjątkowo przykra.

Ale trudno — iść trzeba! Służba, to święta rzecz, choć czasem ciężką bywa! Zresztą, — nie będzie on, to znajdą się dziesiątki, ba, nawet setki innych, którzy go chętnie zastąpią.

Otulił się szczelniej gumowym płaszczem i z westchnieniem ruszył przed siebie. Pod butami chlupała mu woda, tworząca szerokie kałuże w zagłębieniach chodnika, a gwałtowne podmuchy wichru zmuszały do nieustannego czuwania nad płaszczem, który co chwila fruwał ku górze, zmieniając się w rodzaj spadochronu.

Najgorzej było na zakrętach ulic. Musiał wtedy kurczowo przytrzymywać końce nakrycia i szeroko rozstawiać nogi, ażeby nie ulec sile żywiołu, lecz posuwać się — chociaż powoli — w obranym kierunku.

Chwilami ogarniała go złość na tę rozpętaną wichurę, na los, który kazał mu wśród ciemnicy i niepogody tułać się po pustych zaułkach wielkiego miasta, i na przestępców, będących tego powodem.

Ale gniew mijał szybko. Antoni Bielak uświadamiał sobie zaraz, że to przecież jego zawód, i że gorliwe spełnianie obowiązków, nałożonych nań przez zwierzchników, daje jemu i jego rodzinie pewną egzystencję, jakiej — niestety — tysiące innych ludzi nie ma. Ale to jeszcze nie wszystko! Jest przecież stróżem bezpieczeństwa, darzonym zaufaniem i szacunkiem przez całe społeczeństwo. Na jego widok bledną przestępcy, nawet najbardziej zuchwali i pewni siebie. Czyż to mało? Czy nie może być dumny z tego?...

Na myśl o tym prostował się mimo woli i kroczył dalej z uporem wśród deszczu i wichury. Czasem mijał go samotny przechodzień z podniesionym u płaszcza kołnierzem i ukrytymi głęboko w kieszeniach rękoma, spieszący do przytulnego mieszkania i ciepłego łóżka.

Posterunkowy nr. 119 wzdychał wtedy żałośnie, ale nie zapominał o swym obowiązku. I choć zimne krople deszczu zalewały mu oczy i siekły boleśnie po twarzy, a skostniałe ręce z trudem utrzymywały płaszcz i karabin w należytym położeniu, on był zawsze czujny i baczny na wszystko, co się działo dokoła.

Nieomylnym instynktem wytrawnego kryminalisty wyczuwał każdą nieprawość, na którą natknął się w czasie swej wędrówki i biada przestępcy, co znalazł się niebacznie na jego drodze.

Na widok podejrzanego osobnika, posterunkowy Bielak przedzierzgnął się natychmiast w surowego służbistę, który nie cofa się przed niczym, chociaż by życie jego było narażone.

A o to nie trudno! Ilu to policjantów padło na posterunku, przy spełnianiu zaszczytnych obowiązków, ile zostało przy nich wdów i sierot?... Można by liczyć ich na tysiące, ba! nawet dziesiątki tysięcy. Każdy z tych bohaterów wolał śmierć zaszczytną, zamiast życia z świadomością, że stchórzył, pozwalając zbiec złoczyńcy, który skierował broń w jego stronę.

Antoni Bielak przyznawał im w duszy rację i czuł, że i on nie uczyniłby inaczej. Kto wie zresztą, czy już w krótkim czasie nie znajdzie się w podobnej, jak i oni sytuacji? Nie dalej przecież, jak wczoraj, policja stołeczna otrzymała pouną wiadomość, że groźny bandyta Andrzej Mieleszko, poszukiwany już od dawna za liczne kradzieże i morderstwa, znajduje się w mieście.

Zdwojono natychmiast ostrożność i każdy z posterunkowych otrzymał ścisłą instrukcję służbową, oraz dokładny rysopis bandyty. Liczono się także z możliwością, że Mieleszko zmieni sztucznie swój wygląd, tak, że będzie trudno go poznać i dlatego każdy podejrzany osobnik miał być sprowadzony natychmiast do komisariatu, chociażby posiadał żądane dokumenty i wygląd sprzeczny z rysopisem bandyty.



Wspaniała rewia włoskiej konnicy kolonialnej tchnie niezwykłym czarem egzotyzmu

Posterunkowy nr. 119 pamiętał jeszcze słowa swego zwierzchnika, wypowiedziane pod adresem nie tylko jego, lecz wszystkich funkcjonariuszy komisariatu:

— Musicie panowie być przygotowani na najgorsze... posiada on broń najnowszego systemu i na pewno będzie się bronił do upadłego... Nie zapomnijcie jednak, że za schwytanie go... czeka nagroda pieniężna i awans!

Niejeden ze starszych jego kolegów pragnął gorąco awansu, z którym połączona była podwyżka pensji, i życzył sobie w duchu spotkania z groźnym przestępcą, nie zastanawiając się nad tym, że prędzej śmierć niż awans może być wynikiem takiego spotkania. Taka to już ludzka natura! Widzi tylko światła, a zapomina o cieniach i mroku...

Tok dalszych rozmyślań Antoniego Bielaka urwał się nagle pod upływem dziwnej okoliczności. Oto wśród wycia wichrów i szumu wody dzwoniącej głośno w rynnach, ucho jego odróżniło wyraźnie krótki, urywany zgrzyt, znany dobrze ślusarzom.

— Co to może być?...

Posterunkowy nr. 119 przystanął i zamienił się w słuch. Tuż przed nim majaczyły się kontury kilkupiętrowej kamienicy, w której mieściły się drogocenne wystawy, znanego w stolicy jubilera, Leona Burowicza. I właśnie od miejsca gdzie znajdowały się opatrzone stalowymi żaluzjami drzwi wejściowe, dobiegał odgłos piłowania. Widocznie jakiś amator cennych biżuterii, korzystając z ciemności i niepogody, starał się włamać do sklepu jubilerskiego.

Antoni Bielak postanowił działać ostrożnie. Należało złodzieja zaskoczyć nagle i pozbawić w ten sposób wszelkich szans ucieczki. Piłowanie nie ustawało i to pozwalało wnioskować, że złoczyńca nie przeczuwał niczego. Każdej chwili jednak mógł się spłoszyć.

A więc do roboty!

Z tym postanowieniem posterunkowy nr. 119 zsunął ostrożnie z ramienia karabin służbowy, odbezpieczył go i z palcem na cynglu zaczął się wolno posuwać w stronę, skąd dochodził hałas spowodowany tarciem małej piły o żelazo. Wytężył przy tym wzrok, ażeby dojrzeć sprawcę złodziejskich manipulacyj. Początkowo było mu trudno, ale w miarę zmniejszania się odległości, zaczynał odróżniać ciemny punkt na tle znacznie jaśniejszego muru.

— Mam cię... ptaszku!... — pomyślał z zadowoleniem, chociaż było do tego jeszcze daleko. Ale cóż znaczy reszta, skoro zaskoczyło się złodzieja? Nie wymknie się on już! O nie! Bo jak?... Widok lufy skierowanej w jego piersi, osadzi go w miejscu i uczyni potulnym barankiem. Nie pierwszy raz przecież i nie dziesiąty tak bywało.

— A jeżeli to jest nikt inny, tylko Mieleszko we własnej osobie — błysnęło nagle w głowie, pewnego siebie, Bielaka. Zastanowił się: Kto wie? — czasem??... Wszystko możliwe...

Po chwili jednak odrzucił to przypuszczenie, uważając je za niedorzeczność.

Dlaczego by właśnie on miał trafić na osławionego bandytę? Zresztą Mieleszko wie na pewno, że jest ścigany i nie ośmieli się chyba dokonywać rabunku pod bokiem policji stołecznej. To przechodziłoby już granice zuchwałości!

Ale... co to?... Piłowanie ustało... Złoczyńca coś spostrzegł.

— Teraz, albo będzie za późno — pomyślał Antoni Bielak i usiłując przegłuszyć wichurę, krzyknął głośno:

— Ręce do góry!

Ciemna postać poruszyła się nieznacznie. A potem nagle ze świstem nawałnicy zmieszał się huk wystrzału...

Kula świsnęła policjantowi ostrzegawczo koło ucha.

Odpowiedział natychmiast ogniem, przypadając do ziemi. Tym razem strzał był celny. Włamywacz wydał głośny jęk i zwalił się na ziemię.

Posterunkowy nr. 119 zbliżył się szybko do leżącego i wydobywszy latarkę kieszonkową, rzucił snop światła na jego twarz. Był pewien, że zranił bandytę śmiertelnie. Tymczasem omylił się i to go zgubiło...

W ręku złoczyńcy błysnął rewolwer i rozległ się huk.

— O Jezu!...

Antoni Bielak upuścił z rąk karabin i rozpaczliwym ruchem schwycił się za pierś, a po tym runął z jękiem na chodnik.

Ciemna postać przebiegła szybko koło niego i znikła w ciemnościach.

Potem znowu było słychać tylko szum deszczu i wściekłe, coraz potężniejsze wycie rozszalałej nawałnicy...

— — — — — — — —

W kancelarii VI komisariatu P. P. panowała cisza, przerywana tylko, w równych odstępach czasu, tykaniem ściennego zegara...

Przodownik Merczyński, mający tej nocy dyżur, drzemał z ołówkiem w ręku nad stołem zarzuconym papierami. Ciepło rozchodzące się z kaflowego pieca tak przyjemnie rozleniwiało żądne spoczynku członki, że gdyby nie myśl o służbie, stary policjant zapadłby wkrótce z drzemki w sen głęboki.

Byłoby to jednak wprost karygodnym lekceważeniem obowiązków i mogłoby mieć przykre następstwa. A tego należało unikać! Naturalnie. Wolał nie myśleć o tym.

Nagle drgnął i uniósł głowę, nadsłuchując. W korytarzu rozległy się czyjeś kroki, zmierzające wprost do kancelarii... i w progu stanął posterunkowy nr. 116. Na jego widok przodownik zerwał się z miejsca, przeczuwając co śniedobrego. Twarz posterunkowego była blada i wystraszona, a ręce drżały mu nerwowo...

— Co się stało? — rzucił Merczyński.

— Panie przodowniku! Melduję, że posterunek nr. 119 natrafił w swym rejonie bandytę Andrzeja Mieleszko... i... został zastrzelony... — brzmiała odpowiedź.

— Co?! zastrzelony?... Ale kto?...

— Posterunkowy nr. 119.

— A bandyta?

— Zdołał zbiec, panie przodowniku.

— Jak to? Więc skąd u diabła wiecie, że to był Mieleszko?

— Poznałem go — tłumaczył się posterunkowy. Mamy przecież jego rysopis.

— Więc widzieliście go, Lichoń? — zapytał Merczyński z wyrazem niedowierzania w zaspanych oczach. — Siadajcie i mówcie, jak to było.

Posterunkowy usiadł posłusznie i zdał relację z całego zajścia. Z opowiadania jego wynikało, że obchodząc swój rejon usłyszał strzały w pobliżu i pospieszył natychmiast w ich stronę. W drodze natknął się na biegnącego szybko osobnika, które na jego widok przystanął i oddał szereg strzałów — na szczęście nie celnych. Wtedy on — Lichoń poznał go w świetle latarki i usiłował ująć, ale bezskutecznie. Bandyta zniknął pod osłoną nocy. Posterunkowy postanowił zameldować o tym w komisariacie i idąc najkrótszą drogą, znalazł leżącego w kałuży krwi Antoniego Bielaka. W międzyczasie nadbiegli inni posterunkowi, zwabieni hukiem strzałów. Sprowadzono karetkę pogotowia, ale lekarz stwierdził już tylko śmierć Bielaka.

Przodownik Merczyński wysłuchał w milczeniu całego opowiadania, a gdy Lichoń skończył, rzekł poważnie:

— Szkoda. Dzielny był człowiek i zacny. Zginął na posterunku, jak bohater. Cześć jego pamięci!...

— — — — — — — —

Na starym cmentarzu powązkowskim przybył świeży grób. Co tylko rzucono resztę gliny na mogiłę i okryto ją kilku wspaniałymi wieńcami.

Na pochyłej brzozie drżą zielone listki nad głową młodej kobiety w żałobie.

Pochowano właśnie jej męża. Był policjantem i zginął od kuli bandyty, przy spełnianiu swych obowiązków. Pogrzeb miał wspaniały. Tysiączne tłumy odprowadziły go... na miejsce wiecznego spoczynku. Ale cóż to znaczy, kiedy nie ma go już wśród żyjących — odszedł na zawsze, pozostawiwszy ją i dwoje dzieci sierotami. Serce młodej kobiety zranił boleśnie ten cios. Kochała, przecież męża, jak nikogo, oprócz dzieci. Był dla niej dobrym i troskliwym opiekunem, a dla dzieci wzorowym ojcem. I tak nagle śmierć nielitościwa wyrwała go z grona żyjących. Uczyniła ją wdową, a dzieci sierotami.

Ach! czyż mogła przeczuwać, gdy wychodził z domu do służby w ów wieczór, że nie zobaczy go już inaczej, tylko w trumnie?...

Piersią nieszczęśliwej kobiety wstrząsnęło gwałtowne łkanie:

— Antosiu!... kochany... najdroższy!... — wołała wśród łez — czemu zostawiłeś nas samych... czemu nie powiedziałeś nawet, że odchodzisz?! Prawda... ty przecież nie wiedziałeś, że tak wcześnie i tak nagle umierać ci... przyjdzie.... O Boże!... czemuś nam go zabrał?... czemu?... Mieliśmy przecież jego tylko, jednego, który kochał nas prawdziwie... Boże... Boże!

Nie mogła mówić dalej — żal niewymowny ścisnął jej krtań i łzy polały się obficie z zaczerwienionych oczu, wpatrzonych z wyrazem obłędnej rozpaczy w świeżą mogiłę.

Trwało to dość długo. Potem z odrętwienia wyrwał ją... drżący od płaczu głosik dziecięcy:

— Mamusiu!... nie płacz... Tatuś przecież poszedł do Boga... Jest mu tam dobrze... On patrzy na nas z góry... i będzie mu też smutno... Nie płacz... Ten pan, co mówił o tatusiu, powiedział, że jest bohaterem... że dobrze spełnił swój obowiązek...

To mały, czteroletni może chłopczyna, klęczący obok matki, stara się ją pocieszyć, chociaż i jemu serduszko się ściska boleśnie i usteczka drżą płaczliwie.

Słowa dziecka odniosły pożądany skutek. Nieszczęśliwa kobieta zrozumiała, że łzy nie pomogą już nic umarłemu. Pozostały jej dzieci. O nich teraz myśleć musi. Wychowa je na uczciwych i szlachetnych ludzi, nauczy cenić obowiązek więcej, niż życie. Przykład ojca będzie im zawsze jasnym drogowskazem wśród burz i walk życiowych, uchroni je od niejednego kroku, do jakiego nakłaniać ich będą źli ludzie. Tak, przykład ojca — to wielka rzecz, a jej dzieci będą go niosły w życie z czcią, pamiętając o świetlanej postaci tego, który dał im go kosztem własnego życia.

Podniosła się wolno, spojrzała raz jeszcze na mogiłę i wziąwszy dziecko za rączkę odeszła — choć z bólem — ale już pogodzona z losem.

A na świeży grób, tonący w powodzi kwiatów i zieleni słały szept drżące brzozy liści i smętnie szumiały nad nim drzewa cmentarne.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ułożył Witold Mataczyński, Łysinin.

W poniższą figurę wstawić cyfry od 1—30 tak, aby ruchem konika szachowego obejść wszystkie pola. Umieszczone już cyfry winny pozostać na swoim miejscu niezmienione.

1				
16				
29				
22				
7				
14				

REBUSIKI

 uł. Ludwik Kiełpiński

bi	kor	l	r	h
tka	towo	a	e	le

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 5 maja br.

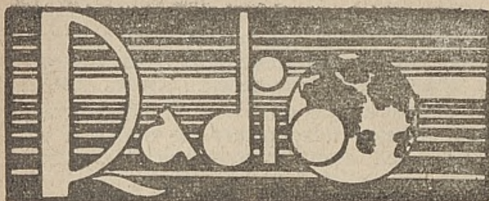
Rozwiązanie zadań z nr. 16 „Moich Pow."

I. konikówka: Własne kolonie, to program L. M. K.

II. Rebus filmowy: Pola Negri.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Jurkiewicz Zygmunt — Sępólno, Kolarski Henryk — Gdynia, Żuromska Janka — Mołodeczno, Gutowski Zenon — Brodnica, Kuligowski Jan — Chełmża, Wyleżałek Paweł — Tyra.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Kolarskiemu z Gdyni i Wyleżałkowi z Tyry.



Niedziela, dnia 30 kwietnia 1939 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie 10,50 Koncert Orkiestry Wojskowej pod dyr. kapitana Szałowskiego 11.20 Transmisja z otwarcia 16-tych Międzynarodowych Targów w Poznaniu 12.03 Poranek symfoniczny z Krakowa 13.15 Muzyka obiadowa 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Muzyka z płyt 16.45 „Wiosna" — audycja muzyczno-literacka 17,30 Podwieczorek przy mikrofonie 19.30 Transmisja fragmentów dorocznego biegu Raszyn — Warszawa 20.00 Marsze wojskowe 21.20 Muzyka taneczna ze Lwowa 21.50 „Śląska pozytywka" — wesoła audycja 22.30 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 1 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.15 „Trzej Straussowie" — koncert z płyt 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 13,30 „Bach i Haendel" — audycja dla gimnazjów 15.00 Słuchowisko dla młodzieży: „Jak Marcin odnalazł ojczyznę 15.30 Muzyka obiadowa z Łodzi 16.35 Pieśni robotnicze — koncert z Łodzi 16.55 Kult pracy w literaturze — dialog 17.10 „W miesiącu słowików i bzu" — audycja słowno-muz 18.00 Śpiewają Jacques i Georges Tabet — płyty 18.30 Orkiestra dęta pułku „Dzieci Bydgoskich" 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Koncert rozrywkowy 20.00 Audycja dla wsi 20.15 Koncert rozrywkowy 21.00 Fragmenty oper Ryszarda Straussa — koncert z Krakowa 22.00 Muzyka symfoniczna.

Wtorek, dnia 2 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 13.00 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 15.00 „Historia o Jasiu, Kasi i o małej Tuzince" — pogadanka dla młodzieży — cz. III 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.30 Duety Roberta Schumanna w wyk. Wandy Henrich i Miry Sobolewskiej 16.50 Ogród flory polskiej we Lwowie — odczyt 17.07 Utwory fortepianowe w wyk. M. Lipkowskiej 18.00 Orkiestra Filharmonii Berlińskiej w repertuarze lekkim — koncert z płyt 18.50 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy 20.00 Audycja dla wsi 20.15 Koncert rozrywkowy (d. c.) 21.00 Sylwetki kompozytorów polskich: Zygmunt Noskowski 22.05 Powszechny Teatr Wyobraźni: „Dowód wdzięczności narodu" — Wojciecha Bogusławskiego 22.40 Polska muzyka popularna.

Środa, dnia 3 maja 1939 r.

7.15 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Katedry św. Jana w Warszawie 10.30 Polskie pieśni religijne w wyk. Poznańskiego Chóru Katedralnego pod dyr. ks. dr. W. Gieburowskiego 2) „Adam Mickiewicz o Konstytucji 3-go Maja" — recyt. 12.03 Poranek muzyczny w wyk. Orkiestry Zw. Muzyków Chrześć. 13.00 „Wśród Orłów i Chorągwi" — mowa ks. Prymasa Woronicza — recytacja 13.20 Muzyka obiadowa z Poznania 14.35 Transmisja fragmentów uroczystości 3-cio-majowych 15.00 Audycja dla wsi 16.20 Start do Biegu Narodowego 3-go Maja 16.30 Z zapomnianych naszych pieśni — audycja z Krakowa 17.00 Słuchowisko historyczne: „Dzień Zmartwychwstania" 17.30 „Wiwat 3-ci Maj" — koncert rozrywkowy 19.20 Powieść mówiona 19.40 Nowe nagrania płytowe muzyki polskiej 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Z. Drzewieckiego 21.30 Pieśni w wyk. chóru gdańskiego „Lutnia-Cecylia" 21.55 Polska muzyka taneczna i rozrywkowa.

Czwartek, dnia 4 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 „Jak to na Mazowszu" — poranek dla szkół powsz. 11.25 Muzyka 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 15.00 Rozmowa technika z młodzieżą 15.15 Kłopoty i rady: „Hela musi mieć własne pieniądze" 15.30 Muzyka obiadowa z Krakowa 16.30 Prace społeczne wsi — odczyt dla młodzieży licealnej 16.40 Orkiestra mandolinistów „Kaskada" (z Wilna) 17.00 Pszczoła zbiera miód — pogadanka 17.10 Koncert solistów ze Lwowa 18.00 Piosenki George'a Gershwina — koncert z płyt 18.30 Ludwik van Beethoven: Trio op. 70 nr. I. D-Dur 19.00 Koncert rozrywkowy z Katowic 20.00 Audycja dla wsi 20.15 Koncert rozrywkowy (d. c.) 21.00 „Wieczór Muzyczny u Karłowiczów" — audycja literacko, muzyczna 21.45 Wiedza i książka: O książce — „Młodzież sięga po pracę" 22.00 Muzyka taneczna 23.00 Koncert muzyki polskiej w wyk. Orkiestry P. R.

Piątek, dnia 5 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Muzyka 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 15.00 „Hokus, pokus, dominikus" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa w wyk. Ork. Rozgł. Wileńskiej 16.35 Sonaty na wiolonczelę i fortepian — koncert 17.10 Przegląd nowych wynalazków — pogadanka 17.25 Pieśni w wyk. męskiego Chóru Nauczycielskiego przy Instytucie Pedagogicznym w Katowicach 18.00 Instrumenty dęte solo i w zespołach — koncert z płyt 18.30 Słuchowisko: „Białystok" 19.10 Koncert rozrywkowy 20.00 Audycja dla wsi 20.15 Koncert rozrywkowy (d. c.) 21.00 Pieśni Sibeliusa w wyk. Janiny Hupertowej 21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej 22.30 „Kwitnący cierń" — fragment powieści Z. Kisielewskiego 22.50 Muzyka.

Sobota, dnia 6 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Muzyka 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 15.00 Teatr Wyobraźni dla dzieci: „Historia o ziemnych ludkach" — według opowiadania J. Ejsmonda 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.20 Kronika literacka 16.35 Pieśni Maurycego Ravela w wyk. W. Jędrzejewskiej 17.00 Transmisja nabożeństwa majowego (z Jasnej Góry w Częstochowie) 18.00 „Sukna białostockie na dalekim świecie" — pogadanka 18.10 Muzyka lekka z płyt 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 Koncert ze Lwowa 20.00 Audycja dla wsi 20.15 Koncert rozrywkowy (d. c.) 21.00 „Miłość cygańska" — operetka w 3-ch aktach Lehara 23.15 Muzyka taneczna z płyt.



DŁUG

— Babciu, pożycz mi złotówkę.
— Mam tylko 60 groszy.
— Dobrze, daj mi te 60 groszy, a 40 gr. będziesz mi winna.

WYSTARCZY

— Czy zna pan film „Życzenie pięknej kobiety"?
— Filmu nie znam, ale znam życzenie.

ZROZUMIAŁ

Hrabia Pętelka-Pętelkiewicz poucza swego lokaja:
— Janie!... Dziś wieczorem będziemy mieli gości... Proszę zapamiętać, że będę zwracał się do Jana po francusku „Jean"!...
— Dobrze, proszę pana hrabiego... A jak ja mam się zwracać do pana hrabiego?
— Durniu!
— Dobrze, proszę pana hrabiego...

W SZKOLE

— Powiedz mi co to jest teoria?
— Teoria... teoria... Zaraz, nie mogę sobie dobrze przypomnieć, ale wiem, że to jest coś takiego, co nie ma nic wspólnego z praktyką.

PRZYKŁAD

Pan Teofil ogląda z żoną nową lokomotywę na stacji. W pewnej chwili małżonka p. Teofila zwraca się do maszynisty:
— Jak długo pracuje taka lokomotywa?
— Najwyżej, proszę pani, trzydzieści lat.
— A widzisz? — powiada małżonka do pana Teofila, który pali papierosa. — To dlatego, że ciągle dymi...

W KOŚCIELE

— Mamusiu, dlaczego panna młoda nosi białą suknię?
— Na znak radości.
— A dlaczego pan młody ubrany jest na czarno?
— Ach, nie pytaj tyle!

WYTRZYMAŁOŚĆ KOBIET

— Kobiety znoszą dużo łatwiej ból od mężczyzn.
— Czy ci to powiedział lekarz?
— Nie szewc!

MIĘDZY MYŚLIWYMI

— Ależ na miłość boską, jakże ten pański pies jest wychudzony! Dlaczego mu pan jeść nie daje!
— To bydlę musi zostać chartem...

DYSKRETNY

— Nie rozumiem, jak świat się o tej sprawie mógł dowiedzieć?
— Ja też nie rozumiem. Każdy komu opowiadałem, przyrzekał mi najgłębszą tajemnicę i dyskrecję.

W SZKOLE

— Znów zapomniałeś przynieść zeszyt. Czy wiesz, jak się nazywa taki żołnierz, który na wojnę idzie bez broni?
— Generał, panie psorze...

W KLASIE

W szkole zakazono dzieciom wychylać się z okien podczas rekreacji. Nauczyciel znowu przyłapał kilku chłopców, wiszących u okna. Krzyczy zirytowany:
— Marsz od okna! Jak który wypadnie, to znowu nie będzie nikogo, kto to zrobił!

BEZ RYZYKA

Appelbaum opowiada, że jego znajomy dostał w kąpieli udaru serca i umarł.
— U mnie to jest absolutnie wykluczone — powiada Żółtko.
— Co jest? Zdrowe masz pan serce?
— Nie. Ale pójdę być wariat kąpać się i ryzykować życie?

UDAŁO SIĘ

Ponury morderca Felek, mający na sumieniu osiem morderstw, wpadł wreszcie w ręce policji. Sąd skazał go we wszystkich wypadkach na karę śmierci.
W przeddzień egzekucji wpada uradowany adwokat.
— Cieszcie się, człowieku! — woła — Udało się! Na osiem wyroków śmiertelnych, siedem udało mi się zamienić wam na dożywotnie więzienie.

NIE SŁYSZY

— Jak pani może mieszkać na tak ożywionej ulicy? Przecież nawet w nocy panuje na niej ożywiony ruch i zgiełk. Czy nie przeszkadza to pani spać?
— Bynajmniej. Widzi pan, mój mąż chrapie tak głośno, że absolutnie nic nie słyszę.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.